Wojciech Tochman

Jakbyś kamień jadła

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Wojciech Tochman

Jakbyś kamień jadła

wydawnictwo czarne

Wołowiec 2012

WYDAWNICTWO CZARNE SP. Z O.O. www.czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice tel./fax +48 18 353 58 93

e-mail: arkadiusz@czarne.com.pl, mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl, honorata@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

tel./fax +48 18 351 02 78, tel. +48 18 351 00 70 e-mail: redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Andersa 21/56, 00-159 Warszawa tel./fax +48 22 621 10 48

e-mail: agnieszka@czarne.com.pl, anna@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl, zofia@czarne.com.pl

Dział marketingu: ewa.nowakowska@czarne.com.pl, iza@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: Beata Motyl, mtm Firma

ul. Zwrotnicza 6, 01-219 Warszawa

tel./fax +48 22 632 83 74 e-mail: mtm-motyl@wp.pl

Skład: D2D.pl ul. Morsztynowska 4/7, 31-029 Kraków, tel. +48 12 432 08 52 e-mail: info@d2d.pl

Projekt okładki i stron tytułowych AGNIESZKA PASIERSKA

Fotografia na okładce © by ABBAS / MAGNUM PHOTOS / EK PICTURES

Zdjęcie Autora © by JACEK CUDNY

Copyright © by WOJCIECH TOCHMAN, 2002-2003

Redakcja DOBROSŁAWA PAŃKOWSKA

Korekta DANUTA SABAŁA, MAGDALENA BUDZIŃSKA, MAŁGORZATA PASZ / D2D.pl Projekt typograficzny i skład ROBERT OLEŚ / D2D.pl Wypowiedź Tadeusza Mazowieckiego z wywiadu *Order uczuć pierwszej klasy*, „Magazyn”, dodatek do „Gazety Wyborczej”, nr 15 (475) z 11 IV 2002

Cytaty na s. 108 i 129 pochodzą z: *Jak modlą się muzułmanie. Antologia modlitw*, Warszawa: Verbinum, 1997

ISBN 978-83-7536-385-2

Konwersja do formatu EPUB: Virtualo Sp. z o.o. virtualo.eu

VIRTUALO

Digital platform of tomorrow

Spis treści

Motto

Mróz

Ubrania

Chromosomy

Wdowa

Przedmieścia

Skały

Góry Hercegowiny

Pomnik

Powrót

Ewa w domu Mejry

Ziemia

N
REPUBLIKA SERBSKA
Bihać
Luszci Palanka
Sanski Most
Banja Luka
Bosanski Petrovac
Sana
Manjacza
Tuzla
Jajce
Potoczari
Bratunac
Srebrenica
CHORWACJA
BOŚNIA I HERCEGOWINA
SERBIA
Vogoszcza
Sokolac
Sarajewo
FEDERACJA BOŚNI I HERCEGOWINY
Gorażde
Morze Adriatyckie
Focza
Mostar
Presjeka
Nevesinje
Drina
CZARNOGÓRA
Trebinje
Kerateim
Prijedor
Rizvanovici
Trnopolj
Omarska
0
50 km

Kiedy się patrzy na tak straszne nieszczęścia, to szalenie mocne staje się poczucie, że najpierw jest się człowiekiem. A dopiero później człowiekiem określonej narodowości. Człowieczeństwo łączy w nieszczęściu, w jego przeżywaniu. Chciałoby się, żeby ludzie tak to rozumieli.

Tadeusz Mazowiecki

specjalny sprawozdawca Organizacji
Narodów Zjednoczonych z krajów
byłej Jugosławii w latach 1992-1995

Mróz

Był ostatni dzień roku, w którym zaczęła się wojna (1992). Wieźliśmy pomoc dla oblężonego miasta. Wjechaliśmy do Bośni od południowej strony. Nim nastał zmierzch, zdążyliśmy zobaczyć wioski, w których nikt już nie mieszkał. Domy i świątynie zrównano z ziemią. Co zrobiono z ludźmi?

Jechaliśmy przez Mostar, ale go nie widzieliśmy. Miasto jak las: niby coś miga za ciemnym oknem, ale nie wiadomo co to. Strach się zatrzymać, strach w ten las pójść.

Tuż przed Sarajewem zatrzymali nas serbscy żołnierze, byli pijani. Raz się do nas śmiali, chwilę później krzyczeli. Tak przez całą noc, do świtu. Rano odebrali nam część ładunku i pozwolili wjechać do miasta. Był mróz.

W mieście pośród podziurawionych domów i bloków zobaczyliśmy ludzi: głodnych i spłoszonych. I my baliśmy się, bo ciągle strzelano. Zajął się nami Dragan L., syn Chorwatki i bośniackiego Serba, którzy postanowili zostać w oblężonym mieście. Był świetnym przewodnikiem i opiekunem. Mówił, że kiedy to wszystko się skończy, a on wciąż będzie żył, ucieknie gdzieś w świat, bo tu już życia nie będzie. Gdzie jest teraz?

W szpitalu rozmawialiśmy z ludźmi bez rąk, nóg, oczu. Sylwia, której nazwiska nie zanotowaliśmy, była tam anestezjologiem. Mówiła: – Potrzebujemy antybiotyków, bandaży, łóżek, kul, protez, wózków i trumien.

Na ulicach widzieliśmy również dziennikarzy: reporterów, fotoreporterów, operatorów kamer. Przyjeżdżali tu pisarze i filmowcy. Chodzili całymi grupami albo pojedynczo. Mówili wieloma językami. Widzieliśmy ich szczególnie wielu rok później (w lutym 1994), kiedy zjechali się tu oglądać targ na Markalach, gdzie w ciągu sekundy granat zmasakrował dziesiątki ludzi.

Powstało tysiące depesz, reportaży, wystaw, książek, albumów, filmów dokumentalnych i fabularnych o wojnie w Bośni. Ale kiedy wojna się skończyła (albo, jak sądzą niektórzy, została na jakiś czas przerwana), reporterzy spakowali kamery i natychmiast pojechali na inne wojny.

Ubrania

Salę teatralną w wiejskim domu kultury otwiera się raz w tygodniu – w czwartek. Każdy może wejść i popatrzeć, więc przyjeżdżają ludzie z okolicy, ale i z daleka. Wierzą, że właśnie tu wyjaśnią swoją sprawę. W sali teatralnej jest scena, ale nie ma widowni. Na brązowej terakocie ułożono ubrania. Wcześniej je posegregowano: to znaleziono na pierwszym człowieku, tamto na siedemdziesiątym. Wszystkie wyprano, żeby odzyskać kolory. Wysuszono na sznurku. Kolorowe ubrania leżą teraz ciasno obok siebie, choć każde osobno. Rzadko jest to kompletny strój. Na przykład tuż przy wejściu leży tylko trykotowa koszulka w biało-niebieskie paski. Nosił ją z pewnością postawny mężczyzna. Za to w tamtej z napisem „Montana” chodził jakiś chudzielec. Dalej: sztruksowe spodnie, kiedyś białe, teraz pożółkłe. Kto je nosił? Pod oknem tylko dżinsowa nogawka. Czyja? Dalej: tylko skórzany pasek, tylko slipy, tylko jedna tenisówka, tylko czarna skarpetka. Przy każdym ubraniu (raczej: każdych strzępach) – pusta papierowa torba, z której te strzępy wyjęto. I kartka z wydrukowanym na komputerze dużym numerem.

Są też litery:

B – to oznacza, że do ubrania dopasowano komplet kości, czaszkę, zęby. Jest całe ciało *(body).*

BP – nie ma kompletu, jest trochę kości. Część ciała *(body parts).*

A – tylko ubranie, ewentualnie jakieś przedmioty *(artifacts)*. Żadnych kości.

Wszystko to wykopano jesienią 1999 roku w niedalekich Kevljanach (stąd przed numerem mamy jeszcze litery: KV). Masowy grób był tam podłużny, ciągnął się przez kilkaset metrów wzdłuż drogi (przydrożny rów wcześniej odpowiednio pogłębiono, a po wszystkim zasypano). Kevljani leżą blisko miejscowości Omarska, gdzie w kopalni rudy w roku 1992 powstał obóz koncentracyjny dla Muzułmanów i tego samego roku działalność zakończył. Więziono tam prawie samych mężczyzn, choć były i kobiety. W większości przeżyły.

Do sali teatralnej zgłaszają się bliscy zaginionego, którzy mają powody przypuszczać, że osiem lat temu trafił do Omarskiej. Wchodzą, zatykają nosy. Nie mają wyjścia, nie mogą zrezygnować. Przyjechali tu, żeby zobaczyć, znaleźć i pochować. Wydaje im się, że wtedy poczują ulgę, spokój.

Oglądają. Między jednym a drugim ubraniem – wąska ścieżka. By niczego nie ruszyć butem, idą jak po linie. Zatrzymują się nad czymś. Nikt nie jest pewny, każdy idzie dalej, staje, znowu idzie. Tak przez pół godziny, godzinę, trzy godziny. Jak kto chce.

W sali biegają szczury.

Młode małżeństwo z siedmioletnią dziewczynką na rękach poszukuje ojca – dziadka dziewczynki. Od dłuższej chwili stoją nad ubraniem KV 22 B.

Nad innymi strzępami pochyla się siwa pani w granatowym kostiumie. Od rana stoi nad jednym i tym samym ubraniem. Układa je, jakby chciała, by ładnie się prezentowało. Poprawia ciemne spodnie, jasną koszulę i coś, co było swetrem w kolorze bordo. Głaszcze to wszystko, jak głaszcze się człowieka.

Nazywają ją tutaj Matką Mejrą.

Body bags

Młodzi ludzie z siedmioletnią dziewczynką, którzy niedaleko sceny tak długo przyglądają się ubraniu KV 22 B, wołają kogoś, kto prowadzi identyfikację. Podchodzi siwa energiczna kobieta w dżinsach. Nazywa się Ewa Elwira Klonowski.

Doktor Ewa Klonowski: rocznik 1946, z wykształcenia antropolog, członek Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych, mężatka, matka, emigrantka stanu wojennego, kiedyś zamieszkała we Wrocławiu, teraz na stałe w Rejkiawiku (Islandia). Tam specjalizowała się w dochodzeniu ojcostwa, bo nie mogła pracować w dziedzinie, która ją pasjonuje najbardziej: w kościach.

– Kocham kości, kości do mnie przemawiają. Patrzę na kości i wiem, na co człowiek chorował, jak chodził, jak lubił siedzieć. Narodowość po kościach odczytam. Kość udowa

Muzułmanina jest wygięta w lekki łuk, bo Muzułmanie kucają. Japończyk ma to samo, bo często klęczy.

Historia dała doktor Ewie okazję do pasjonującej pracy: w Bośni i Hercegowinie. Wojna i koniec wojny: obozy koncentracyjne, masowe egzekucje, masowe groby, masowe ekshumacje. Identyfikacja.

Doktor Ewa zaszczepiła się na tężec i żółtaczkę, spakowała walizki. Na lotnisko odprowadził ją mąż i dwie nastoletnie córki.

Pracuje w Bośni od 1996 roku. Najpierw dla Międzynarodowego Trybunału w Hadze (sędziowie chcą wiedzieć: kto zabił, w jaki sposób i jak wielu ludzi; nazwiska ofiar nie są im potrzebne). Teraz, za pieniądze rządów Islandii i Stanów Zjednoczonych, dla Bośniackiej Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych (identyfikacja ofiar jest tu priorytetem). Doktor Ewa wykopała dwa tysiące ciał. Wyłowiła ze studni, wyciągnęła z jaskini, wygrzebała na wysypisku śmieci albo spod wieprzowych kości.

Teraz doktor Ewa sprawdza coś w papierach, wkłada lateksowe rękawiczki, wchodzi na scenę. Młoda kobieta i jej mąż (wciąż z córką na rękach) stają przed sceną. Doktor Ewa chodzi (ostrożnie, żeby niczego nie rozdeptać) wśród szczelnie zamkniętych niedużych foliowych torebek. Szuka tej z numerem KV 22 B.

Ma już odpowiedni woreczek, otwiera go. Wyjmuje szczękę górną, żuchwę z kilkoma zębami i kilka zębów luzem. Wkłada je w odpowiednie zębodoły, sprawnie składa

całą szczękę. Podchodzi do brzegu sceny i demonstruje to rodzinie.

– Czy to mógł być pani ojciec?

Młoda kobieta przygląda się uważnie, patrzy na męża, jakby mąż miał jej coś doradzić. Ich mała córka wciąż zatyka nos.

– Tak, to mógł być mój ojciec – mówi kobieta całkiem spokojnie.

– OK – doktor Ewa pakuje szczękę do torebki i odkłada na miejsce. – Idziemy dalej.

Dalej, to znaczy na drugi koniec wsi (wieś się nazywa Luszci Palanka). Tam – betonowy barak, kiedyś stołówka dla robotników.

Kilka miesięcy temu przed tym barakiem postawiono duże stoły, z najbliższego gospodarstwa doprowadzono wąż z wodą. Wokół stołów zbierali się miejscowi: mężczyźni, kobiety i dzieci. Patrzyli, jak doktor Ewa segreguje kości, ustala płeć, wiek i pakuje je do body bags.

Body bags leżą teraz na ziemi w ciemnym baraku. Czekają na kogoś, kto się do nich przyzna. Białe plastikowe torby z zamkiem błyskawicznym – coś jak pokrowiec na męski garnitur, tylko że długi na dwa metry.

Szukamy body bag KV 22 B. Jest: leży pod ścianą, w samym rogu. Pod innymi torbami. Te z wierzchu doktor Ewa przekłada na bok i wyciąga tę właściwą. Rozpina suwak. Mała dziewczynka patrzy, nikt nie reaguje. Doktor Ewy to nie dziwi. Dziwiła się na początku pracy w Bośni, cztery lata temu.

– Po co ciągniecie tu dzieci? – pytała.

– Żeby pamiętały – odpowiadali jej wszyscy tak samo.

– Czy pani ojciec miał problemy z biodrem? – Doktor trzyma jedną część stawu biodrowego w prawej dłoni, drugą w lewej.

– Jakieś kłopoty miał – mówi kobieta. – Miał operację.

– Ale czy chodził tak? – doktor demonstruje kaczy chód.

– Nie, chyba nie.

– A ten najwyraźniej tak chodził. Musi pani znaleźć szpital, gdzie ojca operowano. Może mają jakieś dokumenty.

– Dobrze. Przyjadę w następny czwartek.

– Wtedy weźmiemy od pani krew. Porównamy pani DNA z DNA tych kości. Będziemy wiedzieli na sto procent.

Teraz doktor Ewa ma czas na przerwę. Wracamy do domu kultury.

Siwa pani w granatowym kostiumie, którą widzieliśmy tu wcześniej, zostawia na chwilę upatrzone ubranie bez opieki. W pokoju obok parzy nam kawę.

– Jestem Matka Mejra – tak się przedstawia. – Przyjeżdżam tu co czwartek. Asystuję doktor Ewie, pocieszam rodziny.

Kąpiel

Mejra Dautović (lat pięćdziesiąt osiem) mieszkała w Prijedorze. Tamtej wiosny (1992) ulicami miasta serbscy mężczyźni prowadzili przed sobą młodych muzułmańskich mężczyzn, którzy jako żywe tarcze mieli ich chronić przed

tutejszą obroną terytorialną. Na urzędach i dworcach powieszono serbskie flagi. Muzułmanom nakazano, by natychmiast wywiesili w swych oknach białe prześcieradła, a na rękawy założyli białe opaski. W blokach stanowiska zajęli snajperzy.

Dziś Prijedor to Republika Serbska. Nie ma tam miejsca dla Matki Mejry. Teraz z mężem mieszkają w Bosanskim Petrovacu, w nie swoim serbskim domu.

Idziemy za Mejrą wąskimi ścieżkami wśród strzępów ubrań. Stajemy nad tamtym: ciemne spodnie, jasna koszula i coś, co było swetrem w kolorze bordo. Matka pochyla się, poprawia nogawkę. Podnosi się i ocenia, czy na pewno wszystko dobrze się prezentuje.

– To Edvin – mówi, jakby nam kogoś przedstawiała. – Mój syn. I płeć się zgadza, i wiek, i wzrost, i zęby. Tylko doktor Ewa nie jest całkiem pewna. Nie badali nam jeszcze tego DNA. Miałam Edvina. – Mejra znowu pochyla się, znowu poprawia nogawki. – Miałam i Ednę. Wszystko wiem, jak było z moją Edną. Kto ją bił, kto gwałcił. Tylko nie wiem, dokąd pojechał tamten autobus. Dokąd ją z Omarskiej wywieźli. Ubrania nigdzie nie ma, nawet pantofla, nic.

Od kilku lat Matka Mejra jeździ po okolicy i na murach rozkleja fotografie swych dzieci. Napisała nawet książkę na ich temat. Liczy na jakąkolwiek informację, która doprowadzi ją do prawdy. Chce się dowiedzieć trzech rzeczy: jak dzieci zginęły? kto je zabił? gdzie są ich kości?

Kiedy Matka Mejra płacze (płacze codziennie) – chowa się przed mężem, by nie dodawać mu cierpienia. Uzeir i tak

jest chory, po tym wszystkim miał dwa wylewy, milczy całymi dniami. Czasem tylko podrywa się i wali się pięściami po głowie. Upada, leży na plecach, wykrzywioną twarz zasłania dłońmi. Wije się, jakby chciał uniknąć kolejnego kopniaka niewidzialnego oprawcy. I dostaje w brzuch. Mocno. Potem w piersi, w głowę, znowu kryje twarz. Jest chyba i drugi niewidzialny kat. Ten zwykle kopie Uzeira w plecy, w tyłek. Uzeir podskakuje, opada, wygina się, jest wielką literą S. Jęczy. Ale nagle przestaje. Wstaje na równe nogi. Patrzy z pogardą na coś, co leży pod jego butami. Już nie jest przerażonym ojcem, który przyszedł na serbski komisariat zapytać o los córki. Teraz Uzeir stoi nad niewidzialną ofiarą i tryumfuje. Krzyczy coś niewyraźnie. Kopie z satysfakcją. Jest brutalny, wcale nie przestaje, kopie coraz mocniej.

– Uspokój się – mówi Mejra do męża.

Kiedy w roku 1992 wybuchła wojna, ich syn Edvin miał dwadzieścia siedem lat. Był absolwentem technikum elektrycznego. Znał angielski i niemiecki. Ćwiczył karate, nosił czarny pas. Tamtej wiosny wstąpił do muzułmańskiej obrony terytorialnej i pod koniec maja razem z setką żołnierzy próbował wyzwolić Prijedor. Ranny w czasie akcji, zmarł następnego dnia. Tak relacjonują świadkowie.

Ale jest i druga wersja śmierci Edvina. Inni świadkowie widzieli go w Omarskiej. Widzieli, jak był torturowany na oczach siostry. Widzieli, jak 16 czerwca jego zwłoki wrzucono na żółtą ciężarówkę. Ciężarówka odjechała w nieznanym kierunku. Dziś Matka Mejra wierzy, że do

Kevljan, do przydrożnego rowu, wcześniej odpowiednio pogłębionego. Jest przecież to ubranie, wzrost się zgadza, płeć, wiek i zęby.

Edna, siostra Edvina, miała dwadzieścia trzy lata. Wesoła, ruchliwa, bezpośrednia. Pracowała w sklepie z artykułami przemysłowymi, który na parterze domu urządził dla niej ojciec. Zaocznie studiowała pedagogikę w Tuzli. Kiedyś chciała zostać modelką. „Miała figurę Barbie" – Matka Mejra pisze w swej książce. Za zarobione pieniądze planowała kupić konia i dom na górskiej polanie. Lubiła chodzić po górach. Ćwiczyła judo, karate, była dobra w strzelaniu. Więc kiedy wybuchła wojna, natychmiast poszła za bratem.

Pod koniec maja brała udział w akcji wyzwalania Prijedoru. Nosiła za żołnierzami sprzęt, lekarstwa i środki opatrunkowe. Zdołała wyprowadzić kilku rannych. Po walkach wróciła do rodziców. Przerażona zamknęła się z nimi w komórce i tak żyli przez parę dni obok domu.

„Poprosiła – pisze Mejra – żebym zagrzała jej wodę na kąpiel. U Muzułmanów nie było prądu, więc rozpaliłam w piecu. Dobry Allah chciał, żebym ostatni raz umyła moją dziewczynkę". Nadjechali dwaj milicjanci i zabrali Ednę. Chciała wziąć sweter na drogę, ale powiedzieli, że nie będzie jej potrzebny. Uzeir pobiegł natychmiast na milicję, by spytać o córkę. Pobito go, skopano.

Usłyszał, że Ednę wiozą do Omarskiej.

Matka Mejra zadzwoniła do Nebojszy B.

Znała go dobrze.

Nebojsza był kiedyś chłopakiem Edny, a teraz – głównym śledczym w Omarskiej.

Nie podszedł do telefonu, gdy usłyszał, kto dzwoni.

To Nebojsza B. – według relacji kobiet, które ocalały – najczęściej przesłuchiwał Ednę.

Kiedy kończył, Edna ledwie żyła.

Nebojsza B. mieszka dzisiaj w Prijedorze, pracuje w policji.

Autobus

Ednę razem z innymi kobietami więziono w baraku na stryszku. Pod stryszkiem był pokój przesłuchań. Dniami i nocami kobiety słyszały, jak na dole torturuje się mężczyzn.

Matka Mejra wciąż jeszcze mieszkała w Prijedorze. Poszła do swojej przyjaciółki dwie ulice dalej. Chciała jej dać wszystko, co ma.

– Ty jesteś Serbką – mówiła Mejra. – Zrób coś, żeby Edna wróciła do domu.

Przyjaciółka miała swoje zmartwienia. Jej mąż Slavko od trzech dni nie wracał do domu. Pojechał do Keratermu i przepadł. A miał zaraz wracać. Dziś Mejra wie, co się z nim wtedy działo: i w Keratermie był obóz. W tamtych dniach zamordowano tam dwustu pięćdziesięciu ludzi.

Zabijanie, mycie ścian z krwi, zakopywanie – to wymaga czasu.

Dlatego Slavka tyle nie było. Wrócił do Prijedoru dopiero po czterech dniach.

Zawołał Mejrę.

– Po drodze wstąpiłem do Omarskiej – powiedział. – Widziałem Ednę. Ani głowy nie chciała podnieść, ani się przywitać. Wystraszona była jak sarna. Źle wyglądała. Poszedłem do kancelarii, żeby ją zwolnili. Ale nie dało rady. Edna jest osądzona za udział w akcji przeciwko naszym wojskom.

Trzy dni później, według dzisiejszej wiedzy Matki Mejry, w obozie ogłoszono komunikat: kilkadziesiąt osób pójdzie na wymianę z muzułmańską stroną. Wybrano Ednę, jeszcze jakąś kobietę i sporo mężczyzn. Cały obóz im zazdrościł, że za chwilę będą u swoich.

Koleżanka pomogła Ednie wejść do autobusu (z tabliczką „Przewóz uczniów” na szybie).

Później autobusu nikt nigdzie nie widział.

Chromosomy

W Tuzli jest kopalnia soli. Jest wielki miejski cmentarz. Przy cmentarnej bramie stoi dom pogrzebowy. Obok domu – wielka metalowa hala. Widać: świeżo zbudowana. Przed halą mężczyźni w foliowych kombinezonach. Kombinezony świetnie wymyślone – z kapturami.

Młodzi mężczyźni tutaj znaleźli pracę: pchają przed sobą puste wózki albo taczki.

Za domem pogrzebowym jest wejście do tunelu. Tunel wiódł kiedyś do kopalni, teraz jest ślepy: kończy się po stu metrach. W środku, w lichym świetle, na piętrowych pryczach: body bags. Mokre, bo woda kapie z góry. Mężczyźni wyciągają po jednej ubłoconej białej torbie, rzucają na wózek i pędzą w kierunku nowej hali. Wózek – jak pełny koszyk w supermarkecie – prowadzi się ciężko. Chłopcy nie zawsze wyrabiają się na zakrętach. Trafiliśmy na przeprowadzkę.

W tunelu leżą kości prawdopodobnie tych mężczyzn, których tamtego lipca widziano podczas selekcji. Zaginęli. Potem zostali odnalezieni i ekshumowani. Są mężczyznami n.n. Zwykle leżeli we wtórnych masowych grobach – w tzw. sekondarnych grobnicach. Po tym jak amerykański satelita zobaczył świeżo ruszoną ziemię, mordercy próbowali

zacierać ślady: koparkami rozkopywali groby, a to, co ukopali, chowali gdzie indziej (na przykład na śmietnisku). Wiele pierwotnych grobów nad Driną zostało prawdopodobnie tak zlikwidowanych.

Teraz antropolodzy i lekarze sądowi mają z tym problem, bo kości z wtórnego grobu gorzej się segreguje. Trudniej skompletować całego człowieka (stąd większość ma oznaczenie BP). Jeszcze trudniej kompletuje się tak zwane ciała powierzchniowe. A więc te, których nikt nie zakopał, tylko leżały gdzieś na wierzchu, w górach naokoło miasteczka. Czas, deszcz i zwierzęta utrudniły pracę medyków sądowych.

Z kości zebranych w lesie udało się doliczyć czterystu siedemnastu ludzi: mężczyzn, kobiet i dzieci. Bo przez góry niekiedy uciekały całe rodziny. Jeśli całe zginęły – nikt ich nie szuka, nikt nie wypełnił formularza poszukiwawczego, nie podał informacji przedśmiertnych. Nie ma ich w statystykach. Pozostaną zapomniani.

Hala w Tuzli jest imponująca. W chłodni, która zajmuje większą część budynku, komputer dba o odpowiednią temperaturę. Ustawiono tu stelaże wysokie aż po dach. Metalowa lekka konstrukcja dźwiga metalowe brytfanny. Każda jest długa na dwa metry i ma kółka pod spodem. Kiedy jedni mężczyźni przyjeżdżają z body bag, inni czekają już z pustą brytfanną ułożoną na wózku widłowym. Wózek jest kolorowy, z pewnością niedawno kupiony. Mężczyźni przekładają białą torbę, widły wózka podnoszą brytfannę z zawartością na odpowiednią wysokość, kółka ułatwiają

wsunięcie jej w odpowiednie miejsce. Wszystko działa jak dobra szuflada.

Niestety, projektant nie pomyślał do końca – szuflad jest za mało: tylko osiemset sześćdziesiąt. A białych toreb już trzy i pół tysiąca. Pomysłowi okazali się tutejsi pracownicy: każdą torbę zwijają jak śpiwór (da się tak zwinąć, w środku jest kilka kilo kości luzem) i kładą po trzy osoby na jednej brytfannie.

Co będzie, kiedy znajdą się pozostali mężczyźni? Kilka tysięcy mężczyzn. Gdzie ich się położy?

Trzeba robić miejsce: szybko identyfikować te kości, które leżą na brytfannach. I pochować. Ale wyniki nie są imponujące: rozpoznano na razie zaledwie siedemdziesiąt sześć ciał, i to tylko dlatego że zabici mieli przy sobie dokumenty (niewielu ludzi miało papiery w kieszeniach, wyrzucali je ze strachu).

Aby zwiększyć efektywność pracy, wkrótce zostanie wydany katalog z fotografiami ubrań. Ubrania, tak jak w Luszci Palance, już posegregowano i wyprano. Każdy będzie mógł zajrzeć do katalogu. W pierwszym katalogu, który właśnie się drukuje, będzie można obejrzeć trzysta pięćdziesiąt fotografii.

Wszystko, co tutaj się dzieje (wybudowanie hali, identyfikacja), finansuje Międzynarodowa Komisja ds. Poszukiwania Zaginionych, powołana przez amerykańskiego prezydenta po tym, jak w Jugosławii skończyła się wojna. Komisja zapłaci za budowę laboratoriów, w których specjaliści będą badali DNA. DNA

znajduje się w chromosomach, a chromosomy w jądrze każdej komórki ludzkiego ciała.

Takie laboratorium powstanie między innymi w Tuzli. Krewni (dzieci, rodzeństwo, rodzice), którzy wypełnili formularze poszukiwawcze, będą wzywani na pobranie krwi. Z komórek ich krwi specjaliści określą DNA. Uzyskane dane wprowadzą do komputera.

Pobiorą także DNA z komórek kości, które leżą w body bags. I te wyniki wprowadzą do bazy danych. Ponieważ połowa chromosomów człowieka jest identyczna z chromosomami matki, a połowa z chromosomami ojca, odpowiednio napisany program komputerowy skojarzy krewnych z numerem body bag. Cała procedura kosztuje najwyżej sto dolarów na osobę. I za to świat zapłaci.

Badanie DNA jest z pewnością czymś nowym w historii wojen. Tak jak body bags, komputery, Internet, skomputeryzowane chłodnie, wózki widłowe, brytfanny na kółkach. Poza tym wszystko już było: obozy, baraki, selekcje, getta, kryjówki, ukrywanie prześladowanych, opaski na rękawach, sterty butów po zgładzonych, głód, szaber, pukanie do drzwi w nocy, zniknięcia sprzed domu, krew na ścianach, palenie domostw, palenie stodół z ludźmi w środku, pacyfikacje wsi, oblężone miasta, żywe tarcze, gwałty na kobietach wroga, zabijanie inteligencji w pierwszej kolejności, kolumny tułaczy, masowe egzekucje, masowe groby, ekshumacje masowych grobów, międzynarodowe trybunały, zaginieni bez wieści.

Po wojnie w Bośni – blisko dwadzieścia tysięcy zaginionych Muzułmanów.

Jeśli się znajdą, będzie pogrzeb i będzie modlitwa, jak nakazuje Koran.

Droga

W autobusie śmierdzi, pasażerki palą papierosy. Nie pozwalają uchylić okna nawet na centymetr, bo na szybach szron, a w środku ogrzewanie popsute. Kobiety noszą chustki na głowach i długie grube spódnice, ale i tak się trzęsą. Nie z zimna, z nerwów raczej. Może ze strachu, choć mówią, że największy strach już za nimi. Zostawiły go tamtego dnia w tamtej dolinie. Ponieważ już bardziej bać się nie można, postanowiły tam pojechać; niektóre po raz drugi, albo nawet trzeci.

Wyjeżdżamy z Sarajewa. Jedziemy na wschód. Droga jest stroma, dziurawa i śliska. Choć mamy już kwiecień, właśnie pada śnieg. Przed nami sto pięćdziesiąt kilometrów, do celu powinniśmy dotrzeć w południe.

Mubina Smajlović (lat trzydzieści sześć) jedzie tam po raz pierwszy. Długo do tej podróży dojrzewała.

– Nie mogę tego pojąć – mówiła do matki pięć lat temu, zaraz po tamtym. – Nic nie ma sensu.

– Gdybyśmy wiedziały cokolwiek – mówiła przed dwoma laty – może poczułybyśmy ulgę.

– Nie można żyć w dwóch światach – mówiła przed rokiem. – Jedną nogą w tamtym, jedną w tym.

– Jedźmy tam! – zaproponowała ostatnio. – Zobaczmy, jak tam jest.

– Nie – powiedziała matka. – Nigdy tam nie pojadę.

Mubina wstała dzisiaj przed świtem. Ucałowała śpiących synów, zamieniła kilka zdań z matką (mama cierpi na bezsenność), popiła kawą białe tabletki (bez śniadania, 0 tej porze nikt tu nie jada). Nałożyła krótki prochowiec i zbiegła siedem pięter w dół (winda w jej bloku nie działa od lat, mama od wielu miesięcy nie wychodzi z domu). Przeszła przez most prosto na dworzec. Usiadła na pierwszym fotelu, tuż obok kierowcy, żeby dobrze widzieć drogę. I to co obok drogi.

Gdyby usiadła na końcu, też byłoby ją widać od razu. Z powodu urody: ma ciemne smutne oczy, rude włosy (ruda farba przykrywa siwiznę), szeroki uśmiech (czasem się uśmiecha) i widoczne zmarszczki. Szczupła, zgrabna, wysoka, energiczna, w dżinsach, żadnej chustki na głowie. Spisuje pasażerki: niemłode, niewesołe, nieufarbowane. Przed powrotną drogą sprawdzi, czy wszystkie wróciły do autobusu.

Mubina nie pokazuje po sobie niepokoju, a boi się może najbardziej z całej wycieczki. Nie zna tamtego strachu, który pięć lat temu poznały inne kobiety. Wtedy jej tam nie było. Wyjechała trzy lata wcześniej, w kwietniu 1992 roku.

W kwietniu 1992 w Bośni zaczęła się wojna.

Razem z Mubiną wyjechali rodzice i jej mali synowie: czteroletni i czteromiesięczny.

– Jedź z nami – prosiła męża.

– Kto będzie tu leczył zwierzęta, kiedy mnie zabraknie? – zapytał. – Zostanę, wszystkiego przypilnuję. Uspokoi się, to wrócicie.

Akurat dzisiaj mija osiem lat od dnia, kiedy Hasan tak do niej mówił.

Uspokoiło się.

Mubina zaczyna powrotną podróż.

Śliwy

Szron zniknął już z szyb, kwitną łąki, dojeżdżamy nad Drinę, do Bratunaca. Mijamy wsie, które Mubina zna z dzieciństwa. Ostatni raz widziała je osiem lat temu. To, co widzi, wygląda inaczej niż wtedy: kupy gruzu albo spalone szkielety domów, kwitną śliwy, ludzi nie ma.

Zaraz po wybuchu wojny Mubina, jej mali synowie i jej rodzice wyjechali z Bratunaca do Belgradu.

– Wracam do domu – zapowiedział ojciec w Belgradzie.

– Zostań – prosiły.

– Wszystkiego przypilnuję, uspokoi się, to i wy wrócicie.

– Zostań.

– Jestem na swoim miejscu – zadzwonił już z Bratunaca. – Jestem spokojny.

Ale dookoła nie było spokojnie. Nazajutrz ojciec nie podnosił telefonu.

I mąż nie odbierał. Ani w domu, ani w lecznicy dla zwierząt.

– Co jest? – niepokoiła się Mubina. Zadzwoniła do sąsiadów.

– Wasz ojciec wczoraj wyszedł przed dom – zaczęła sąsiadka. – Stanął na ulicy, rozglądał się.

– Zawsze tak robił – Mubina przerwała sąsiadce. – Co rano, od kilkudziesięciu lat. Mów: co dalej?

– Wczoraj to się chyba rozglądał po raz ostatni. Zajechali czetnicy. Spytali o nazwisko, spojrzeli na listę, wepchnęli do auta. Potem jeszcze raz zajrzeli, ale bez ojca. Wzięli waszego volkswagena, mieli kluczyki.

Mubina do dzisiaj nie wie, co się stało: kto ojca zabrał i dokąd?

– Muszę znaleźć kości – wyciera oczy, wyjmuje szminkę, otwiera puderniczkę. Wjeżdżamy do Bratunaca.

Bratunac leży na rozległej równinie, prawie nad Driną. Rzeka oddziela Republikę Serbską od Serbii (Serbię dobrze stąd widać). Miasto nie wyróżnia się niczym szczególnym: kilka ulic, hotel z nieczynną fontanną (tu serbski generał Ratko Mladić upokarzał holenderskiego dowódcę oddziałów ONZ), bank, gdzie Mubina kiedyś pracowała, dwie szkoły, domy, kilka bloków, ludzie na ulicach.

Ludzie stoją i patrzą, ale w Bośni to nic szczególnego. Bezrobocie sięga sześćdziesięciu procent, a tutaj z pewnością jest jeszcze większe.

Bratunac wyróżnia się jednym: sąsiedztwem Srebrenicy.

Trzeba iść asfaltem pięć kilometrów prosto na południe, minąć fabryczne hale we wsi Potoczari i już będzie miasteczko w wąskiej zielonej dolinie. Pasażerki autobusu

całą drogę zapewniają, że to okolica niezwykle urodziwa i bogata w minerały. Tutejsze wody lecznicze – nasycone żelazem aż do czerwoności – dobre są na niedokrwistość.

Mubina nie chce iść do Srebrenicy, nawet nie spojrzy w tamtą stronę.

Hasan tam poszedł.

Sznurek

Kilka lat temu o Srebrenicy pisały gazety na całym świecie: w miasteczku mieszkali w większości Muzułmanie. Kiedy w Bośni wybuchła wojna, dołączyli do nich Muzułmanie z okolic. W sumie w tym ciasnym miasteczku uzbierało się ich ze trzydzieści tysięcy. Drugie tyle na przedmieściach. Tutejsi Serbowie uciekli do swoich, choć podobno nikt ich nie wypędzał. Wojska serbskie szczelnie otoczyły miasto z przedmieściami i w takim uścisku trzymały je przez następne trzy lata. Organizacja Narodów Zjednoczonych ogłosiła Srebrenicę „strefą bezpieczeństwa”, co miało oznaczać gwarancję, że jej mieszkańcom nic się nie stanie.

Każdego dnia, przez trzy lata, do tutejszego szpitala przyjmowano około trzydziestu rannych. W szpitalu pracował jeden chirurg. Amputował nogi i ręce tym, co miał: brzytwą i sierpem. Nie było środków znieczulających, nie było antybiotyków. Przez trzy lata w Srebrenicy umierało średnio po pięć osób dziennie. Ale bywały i takie

dni, kiedy konało dwudziestu (nie liczymy tu zabitych od razu).

Ludzie nie mieli środków czystości, lekarstw, soli. Jedli trawę, korzenie, kwiaty leszczyny. I chleb pieczony z mielonych kolb kukurydzy. Taki chleb jest ciężko strawny, wywołuje silne bóle. Pod koniec jedli to, co NATO zrzuciło im z samolotów. Ale jedzenia z nieba było za mało, więc kiedy spadało, głodni ludzie wyciągali noże i o jedzenie walczyli.

Koniec nadszedł 11 lipca 1995 roku.

Bośniacka obrona sama wycofała się z przedmieść po informacji otrzymanej z ONZ, że za chwilę nadlecą samoloty NATO i zbombardują serbskie pozycje.

NATO nie nadleciało na czas. Serbowie weszli do miasta.

Tamtego dnia kobiety z naszego autobusu poznały strach, którego Mubina nie zna. Nie przeszła przez selekcję, którą zorganizowano we wsi Potoczari.

Selekcję przeszła Zineta M. (lat czterdzieści osiem), teraz zamieszkała w Vogoszczy pod Sarajewem. Nie zabrała się dzisiaj z nami, bo po tamtym lipcu była w swoim domu już trzy razy. Na czwartą wizytę na razie brakuje jej sił.

Tamtego dnia, kiedy na krańcach miasta pojawiły się oddziały Ratka Mladicia, ludzie sami szli do Potoczar. Liczyli na pomoc holenderskich żołnierzy, którzy tam stacjonowali. I Zineta szła w kolumnie dwudziestu tysięcy ludzi: razem z córką (wtedy jedenastoletnią) i starszym synem (wtedy dwudziestoletnim).

W Potoczarach kobietom i dzieciom kazano iść na prawo, mężczyznom na lewo. O tym, czy chłopiec jest jeszcze

dzieckiem, czy już mężczyzną, decydował sznurek, który powieszono na wysokości stu pięćdziesięciu centymetrów (niektórzy mówią o stu czterdziestu, inni o stu sześćdziesięciu). Który chłopak był wyższy – tego odbierano matce.

Holendrzy patrzyli bezradnie na to, co się dzieje.

– Wołaliśmy go Kiram – zaczyna Zineta.

– Nie patrz tak na mnie, mamo – powiedział na pożegnanie. – Przecież nas wszystkich tutaj nie pozabijają.

– Zostawcie mi brata – córka krzyczała, ale złapał ją jakiś Serb i rzucił między kobiety.

– Liczyłam jego kroki, kiedy mi go wyrwali – mówi dalej Zineta. – Jeden krok, drugi, dziesiąty, coraz dalej ode mnie. Krzyczałam, odwrócił się. Dwudziesty krok, trzydziesty, już był prawie przy tej fabrycznej hali. Tam go czetnicy zatrzymali, torbę kazali rzucić na bok. Sterta walizek była wysoka chyba aż na dwa piętra. Kiram spojrzał jeszcze na nas. Wszedł do hali.

Tamtego dnia w Potoczarach upał był nie do zniesienia, ludzie nie mieli co pić. Wśród Serbów kobiety rozpoznawały sąsiadów, kolegów ze szkoły albo z pracy. Uczniowie – swych nauczycieli.

Wreszcie w Potoczarach pojawił się sam generał Ratko Mladić, dowódca całej armii: – Przyjechałem wam wyjaśnić, że Srebrenica jest serbska – powiedział do kobiet przez megafon. – Nie trzeba was zabijać.

Od kobiet i dzieci oddzielono siedem tysięcy mężczyzn (niektórzy mówią o dziesięciu, inni o dwunastu tysiącach).

Kobietom zrywano złote łańcuszki, zdejmowano obrączki. Niektóre dziewczyny – te ładniejsze – brano gdzieś na bok. Wracały po jakimś czasie i z pomocą sąsiadek wsiadały do autobusów. Wszystkie kobiety ładowano do autobusów albo na ciężarówki. Zineta z córką wyjechały z Potoczar dopiero nazajutrz, tuż przed ósmą wieczorem. Nie wiedziały, dokąd jadą i po co. Jechały przez Bratunac, Kravicę, Novą Kasabę aż pod Kladanj prawie. Wysadzono je po zmroku dziesięć kilometrów przed linią frontu.

– Idźcie – usłyszały. – Idźcie do swoich. Tylko środkiem drogi.

Na poboczu leżeli ludzie.

– Nawet – mówi Zineta – nie sprawdziłyśmy, czy oni żyją. Bałyśmy się, było nam zimno.

Kobiety zamieszkały koło Tuzli, w namiotach na lotnisku. Niektóre wychodziły przed namiot i krzyczały po nocach.

Miesiąc później usłyszały w miejscowym radiu, że w okolicach Srebrenicy amerykański satelita sfotografował duże pola świeżo ruszonej ziemi. Nocami wychodziły przed namiot, wyły.

– Może ojciec przeżył – Zineta powiedziała do córki. – Może Kemal.

Jej mąż i młodszy syn Kemal tamtego dnia nie przyszli do Potoczar. Wybrali ucieczkę przez góry.

Trzydzieści trzy dni później przed Zinetą stanął siwy, chudy, pomarszczony mężczyzna. Tyle dni przeżył w lesie. Nie od razu rozpoznała w nim męża.

– Chłopcy wrócili? – zapytał o synów.

Tamtego lipcowego dnia postanowili z młodszym Kemalem, że się podzielą: ojciec pójdzie górami na północny zachód, syn na południe. Ustalili, że choć jeden z nich musi przeżyć i opiekować się rodziną. Obiecali sobie i to, że żywcem nie dadzą się Serbom. Że w razie czego – granat przy pasku.

Mąż wrócił, ale Kemal nie. Ani starszy Kiram, który został w Potoczarach. Zineta musiała pilnować męża, bo chciał się z tego powodu zabić. Zaprzyjaźnione kobiety tłumaczyły jej, że i tak nie ma najgorzej: jest mąż, jest córka.

I jest Kemal! Wrócił. Czterdzieści cztery dni tułał się po lesie. Omijał serbskie zasadzki. Przyszedł do rodziców cały i prawie zdrowy.

A Kiram?

Cztery miesiące po tamtym Zineta usłyszała w radiu, że w amerykańskim Dayton podpisano układ pokoj owy. Ustalono, że w skład Bośni i Hercegowiny wchodzą: Republika Serbska na północy, południu i na wschodzie (tu leżą Bratunac, Potoczari, Srebrenica) i Federacja Bośniacko-Chorwacka na południu, w centrum i na zachodzie (z Sarajewem włącznie).

– Pół kraju dali czetnikom – Zineta powiedziała do męża. – Szczodra nagroda za naszą krew.

Wiosną następnego roku kobiety dowiedziały się z radia, że w okolicach Srebrenicy pracują ekipy trybunału haskiego.

Pod świeżo ruszoną ziemią znaleziono trzy i pół tysiąca ciał. O pozostałych kilku tysiącach radio nie mówiło.

Z tych wszystkich powodów Zineta niechętnie jeździ w swoje strony, a Mubina nie chce tam pójść na spacer.

Mubina nie zna Zinety. Poznają się wkrótce, będą ku temu ważne powody.

Na razie idziemy do domu rodziców Mubiny. Kiedy wjeżdżaliśmy do Bratunaca, widzieliśmy, że stoi.

Dom rodzinny

Dom rodziców Mubiny jest nieduży, biały, kryty dachówką. Tu Mubina przyszła na świat, stąd wyruszała do szkoły, tutaj wyszła za mąż za weterynarza Hasana. Stoi teraz przed domem już kilka minut. Patrzy. Narzeka na zaniedbany ogródek, chwali pogodę. Tak kryje lęk przed tym, co za furtką. Wreszcie uchyla bramę. Ostrożnie wchodzi na betonowe schody.

W drzwiach – młoda kobieta. Też wystraszona. Nic dziwnego: wielu ludzi w Bośni boi się dziś niespodziewanych i nieznajomych gości.

Obecna gospodyni przed wojną mieszkała niedaleko – we wsi Kravica. Jej dom spalili Muzułmanie ze Srebrenicy.

– Wymykali się górami przez oblężenie – Mubina wyjaśnia, jak było. – Zabierali Serbom wszystko, co dało się zjeść. Najczęściej mąkę. Worek mąki dawał rodzinie przetrwanie na jakiś czas.

– Ale i domy palili – podkreśla teraźniejsza gospodyni. – Zabijali Serbów.

– Tak, zabijali. – Mubina rozgląda się po pokoju. Patrzy na to, co zostało z gospodarstwa jej rodziców. Niewiele, tylko fragment meblościanki. Wszystko zostało rozkradzione, zapewne zanim wprowadziła się tu młoda Serbka z Kravicy. Zanim w Dayton politycy ustalili, że po bośniackiej wojnie każdy może wrócić do swojego domu. Każdy uchodźca, każdy wypędzony. Muzułmanie (w Dayton nazywani Bośniakami), którzy schronili się w Federacji Bośniacko-Chorwackiej, mogą teraz wrócić do swych miast i wsi w Republice Serbskiej. Matka Mubiny – na przykład – mogłaby przyjechać do Bratunaca i powiedzieć do młodej Serbki: – To moje. Proszę wyjść. Gdyby lokatorka nie posłuchała, matka Mubiny musiałaby prosić o pomoc lokalne serbskie władze.

Żadna Muzułmanka nie próbuje wracać nad Drinę.

Mubina razem z matką i dziećmi mieszka w Sarajewie – w dzielnicy Grbavica, która w czasie oblężenia stolicy należała do Serbów. I mieszkanie Mubiny (na siódmym piętrze wieżowca, piękny widok na miasto) należało kiedyś do Serbów. Należy – według tego, co ustalono w Dayton: każdy może wrócić do siebie. Serbowie tymczasowo zamieszkali w Republice Serbskiej lub gdziekolwiek indziej mogą odzyskać swoje domy w Federacji Bośniacko-Chorwackiej, a więc i w Sarajewie. Nieliczni już próbują. Z pomocą bośniackich władz opróżniają swe domy z nieprawowitych muzułmańskich lokatorów. Eksmitowani dostają zwykle inne puste mieszkanie Serba, który być może wkrótce zgłosi się po swoje.

Serbowie nie zawsze wracają do siebie, by zamieszkać. Wracają, by opróżnić dom i sprzedać. Kupić może każdy, kto ma pieniądze.

Młoda Serbka mogłaby wrócić do spalonej Kravicy. W Bośni działa tzw. program rekonstrukcji. Każda wieś i każde miasto, które ogłosi, że przyjmie wszystkich swych przedwojennych mieszkańców, może liczyć na pomoc w odbudowie domów. Pomaga Zachód.

W Bratunacu nikt o tym nawet nie rozmawia. Nikt nie spodziewa się, by którakolwiek Muzułmanka ośmieliła się tu powrócić.

O muzułmańskich mężczyznach nikt nic nie mówi. Jakby nigdy nie istnieli.

Trzech pytań nie zadaje się w dzisiejszej Bośni: jak twój mąż? jak syn? co robiłeś w czasie wojny?

– To ja – mówi Mubina do Dragana, swego serbskiego przyjaciela.

– Ty? Tutaj? – Draganowi okrągleją oczy. Znają się z podwórka, był świadkiem na jej muzułmańskim ślubie, drużbą. I wspólnikiem jej ojca. Przed wojną mieli wspólne stoisko w domu towarowym, handlowali wszystkim, co potrzebne do łazienki. Teraz na stoisko brakuje pieniędzy, więc glazurę i krany Dragan sprzedaje w magazynie nieopodal. I tam go spotykamy.

– Ja. Tutaj. – Mubina ostrożnie podaje mu rękę, bez uśmiechu. Dragan zaprasza do środka, przynosi krzesła, włącza czajnik, ustawia krzesła, płucze filiżanki, stawia

spodeczki, stawia filiżanki. I wybiega do sklepu. Spodziewa się pewnie, że mamy mało czasu.

Słusznie się spodziewa. Czekamy pięć minut, dziesięć, kwadrans. Jest wreszcie. Przynosi czekoladę Milka i karton soku pomarańczowego Happy Day.

– Pamiętasz – uśmiecha się do Mubiny – że my tu, w Bratunacu, zawsze byliśmy gościnni?

– Co u ciebie? – pyta Mubina.

– Dzieci rosną. Jovanka pracuje. Rzadko która kobieta ma teraz pracę.

– Wiem, ja nie mam. A interesy jak?

– Słaby zbyt.

– I w Sarajewie ludzie łazienek nie robią. Bieda.

– A jak dzieci?

– Rosną.

– A mama?

– Żyje.

Dragan podrywa się, ma zmartwioną minę. Nasz czas minął. Przyszli klienci.

Na ulicy jakiś inny mężczyzna przypatruje się nam uważnie. Mubinie się przypatruje. Stoi przed warzywniakiem (z pewnością jest jego właścicielem, tak się zachowuje) i kiwa na nas ręką.

– Wyrosłaś – mówi do Mubiny.

– Postarzałam się.

– Ja w domu twojego ojca zjadłem więcej obiadów niż u siebie – informuje Mubinę na wszelki wypadek, gdyby zapomniała.

– Wiem, byliście przyjaciółmi.
– I to jakimi! Ale nic, dziecko, nie mogłem zrobić.
– Nic?
– Stałem tu i patrzyłem, jak go zabierali.
– Nieważne co było. Ale gdzie są kości taty?
– Kto to wie? – mężczyzna ścisza głos.
– Chcemy go z mamą pochować.
– Nic nie wiem.
– Nie ma kości, nie ma żałoby. Nie ma jak żyć.
– Wojna jest okropna – mówi przyjaciel ojca. – Ale skończyła się dobrze. Podzieliliśmy się, mieszkamy obok siebie, tylko nie razem. Twoja wizyta oznacza, że czas leczy rany. Dobrze, dobrze jest teraz. Możemy się spotkać przy kawie, pohandlować nawet, a na wieczór każdy wraca do siebie.

Informacje przedśmiertne

Po wyjeździe żony Hasan przez jakiś czas jeszcze leczył tamtejsze zwierzęta. Jak zawsze szedł z pomocą bez względu na porę. Ludzie go szanowali za pracowitość, uczciwość, poczucie humoru i optymizm. Przez jakiś czas mieszkał jeszcze na piętrze w eleganckim domu przy głównej ulicy Bratunaca. Były to dwa pokoje z kuchnią, do których wprowadzili się z Mubiną zaraz po ślubie. Mubina chciała je dzisiaj odwiedzić: wejść po schodach, otworzyć drzwi, usiąść w dużym pokoju, położyć się na podłodze. Brakuje jej sił, rezygnuje.

O śmierci Hasana wie niewiele. A chciałaby wiedzieć cokolwiek.

Podobno ciągle wołali go na milicję. Szedł, ale wracał. Znowu go wołali. Zaniepokoiło to Serbów z sąsiedztwa. Zorganizowali mu kryjówkę w lesie. Spędził w niej kilka dni, a kiedy którejś nocy trafiła się okazja, sąsiedzi pomogli mu przejść do Srebrenicy. Dzień, może dwa później na boisko szkolne zwieziono wszystkich pozostałych w Bratunacu Muzułmanów.

Odbyła się pierwsza selekcja: kobiety na lewo, mężczyźni na prawo.

W połowie maja 1992 roku w tutejszej szkole zabito blisko dwa tysiące mężczyzn. Stało się to trzy lata przed selekcją w Potoczarach.

Ci, którzy uciekli do Srebrenicy, wierzyli, że są uratowani.

W Srebrenicy Hasan zamieszkał w domu stryjenki. Razem z nim inni mężczyźni – bracia ojca, bracia matki i dalsi krewni. W ciągu trzech lat oblężenia Mubina kilkakrotnie rozmawiała z mężem przez radio. Nic nie mówił, kazał jej opowiadać. Opowiadała więc, że razem z mamą i dziećmi uciekła z Belgradu do Lublany; że mieszka w akademiku zamienionym na obóz dla uchodźców; że dzieci rosną.

Tamtego dnia (11 lipca 1995 roku) podczas selekcji w Potoczarach weterynarza Hasana nie zauważono.

Podobnie jak setki innych osób postanowił uciec przez las. Wybrał drogę przez górę Buljim.

Tyle Mubina wie.

Na początku czekała na dobrą wiadomość. Biegła do drzwi, gdy słyszała czyjeś kroki na schodach. I tam, w Lublanie, i po wojnie, kiedy sprowadziła się do Sarajewa. Wyglądała często przez okno, czekała na listonosza. Dziś, żeby nakarmić dzieci, co miesiąc bierze z urzędu pieniądze za poległego męża. Sądownie uznała go za zmarłego (wszystkie bezrobotne wdowy i matki tak robią, by przeżyć). Wypełniła formularze poszukiwawcze: jeden dotyczył Hasana, drugi – ojca. Ich podstawowe dane (imię, nazwisko, wzrost, kolor oczu, kolor włosów, kształt czaszki, przebyte choroby, braki w uzębieniu i złamania kości) w języku fachowców nazywa się informacjami przedśmiertnymi. Informacje przedśmiertne Mubina spakowała w kopertę i wysłała do Tuzli.

Od wielu miesięcy czeka na wezwanie.

Matki

Na wezwanie do Tuzli czeka również Zineta M., od kilku lat zamieszkała w Vogoszczy pod Sarajewem (uchodźcy znad Driny mieszkają również na Ilidży, w Ilijaszu, w Hadżiciach). Dwa pokoje na ostatnim piętrze, które zajęła z córką, młodszym synem i mężem, były zupełnie zdewastowane, jak wszystkie domy w Vogoszczy. W czasie wojny Vogoszcza leżała po serbskiej stronie. Kiedy w Dayton podpisano pokój, Serbowie zaczęli pakować wszystko, co się da. Z mieszkań zabrali krany, sedesy, wanny, umywalki, zlewy, glazurę, drzwi, progi, okna,

karnisze, parkiet, kontakty, gniazdka. Z niedalekiej fabryki wzięli też całą linię produkcyjną volkswagena golfa, za czasów Jugosławii golfy tutaj montowano. Po drugiej stronie Sarajewa z olimpijskich wyciągów narciarskich zabrali silniki, liny i krzesełka.

Murów nie mogli zabrać. Rodzina Zinety skromnie urządziła mieszkanie i teraz czeka na kogoś, kto być może niedługo zapuka do drzwi i upomni się o swoje.

– A dokąd ja pójdę? – pyta Zineta. – Do Srebrenicy? W moim domu mieszka mój dawny serbski sąsiad. Je obiad moimi łyżkami, widziałam. Śpi w naszych łóżkach. W tej samej haftowanej pościeli, w której Kiram spał.

Kiram (starszy syn małżeństwa M.) do dziś nie wrócił z Potoczar.

Mąż Zinety i jej młodszy syn wrócili, bo wybrali ucieczkę przez góry. Młodszy syn pomieszkał trochę z rodziną i wyjechał do Holandii w poszukiwaniu zarobku. Wielu młodych wyjeżdża (w ciągu ostatnich lat do stu różnych krajów świata wyjechało z Bośni osiemset tysięcy ludzi). Wielu przed wyjazdem oświadcza: – Nigdy tutaj nie wrócę.

I mąż Zinety jest na bezrobociu. Je obiad za pieniądze, które dostaje od rządu za poległego syna (345 bośniackich marek miesięcznie). Ma wielkie dłonie, cały jest wielki i silny, mógłby coś robić. Od kilku lat siedzi całymi dniami na zydlu pod piecem i wcale się nie odzywa.

Nie szuka sobie zajęcia, nie podejmuje żadnych decyzji. Zineta musi myśleć o wszystkim.

I córka, która siedzi obok ojca, nie mówi ani słowa. Nie rozmawia z sąsiadkami, nie ma nic do powiedzenia koleżankom z podwórka, nie odzywa się w szkole. Od tamtego lipca w ogóle niewiele mówi. Wtedy miała jedenaście lat i na jedenaście wygląda dzisiaj. Bez żadnego ruchu, z twarzą pozbawioną wyrazu, słucha tego, co opowiada matka. I sąsiadki.

Vogoszcza to miasto kobiet. Bezrobotne kobiety biorą tabletki na uspokojenie. Powołują różne stowarzyszenia. Zineta jest przewodniczącą „Matek Srebrenicy" „Matki" mają nawet swoją stronę internetową, na której zaprojektowanie jakaś zachodnia organizacja wyłożyła pieniądze (zobacz: www.srebrenica.org). Raz w miesiącu stowarzyszenie organizuje demonstracje, na których kobiety pytają:

– Gdzie są nasi synowie?

– Jak można kazać nam tam wracać?

– Co my tam same zrobimy?

– Jak same obrobimy ziemię?

– Który Serb da nam pracę?

– Jak można pozwolić, by nasze dzieci były uczone przez nauczycieli-morderców?

– Za kogo nasze córki wyjdą tam za mąż?

– Chcemy wrócić do domu – mówią „Matki Srebrenicy" – ale nie tak, jak ustalono w Dayton. Naszym domem jest Bośnia, a nie Republika Serbska. Wrócimy, kiedy nasze bośniackie wojska staną nad Driną.

Najczęściej jednak „Matki” prowadzą codzienne życie w Vogoszczy. Odwiedzają się przed południem (i po południu drugi raz), by rozmawiać o tym, co będzie: z pewnością zostaną eksmitowane z mieszkań. I o tym, co było. Sąsiadka z naprzeciwka, już niemłoda, miała męża, dwóch braci i czterech synów. Na szczęście miała też córkę. Tylko ona jej została. Córka jest inteligentna i oczytana, chciałaby się kształcić, ale na to matce brakuje pieniędzy. Bez łapówki nie ma szans na dobrą szkołę.

Sąsiadka z bloku obok miała trzech synów: najstarszy skończył dziewiętnaście lat, średni – siedemnaście, najmłodszy – piętnaście. Miała też ojca, braci i męża. Nie miała ani jednej córki. Teraz co rano żałuje, że jest nowy dzień. Ma czterdzieści lat.

Sąsiadka z parteru urodziła dwóch synów i dwóch chciałaby pochować. O tym tylko marzy. Chciałaby, by leżeli w Potoczarach. Ale najpierw trzeba znaleźć ich kości.

I męża też. W Potoczarach powinien powstać cmentarz i jakiś pomnik. Żeby nikt nie zapomniał, co Serbowie zrobili Muzułmanom. Tymczasem tamtejsi Serbowie chcą w Potoczarach budować nie muzułmański cmentarz, tylko wielką cerkiew. Tak mówią sąsiadki.

– Oni duszy nie mają – mówi pierwsza.

– Kiedy przyjechałam do Srebrenicy pierwszy raz po wszystkim – mówi druga – ktoś na ulicy wołał mnie po imieniu. Nie obejrzałam się. Nie potrafię tam z nikim rozmawiać.

– Podeszłam pod swój dom – opowiada matka trzech synów. – Nie za blisko, żeby nie przeszkadzać. Ale i tak ktoś dostrzegł mnie z okna. Z mojego domu wybiegły cudze dzieci i chwyciły kamienie.

– Mnie otworzyła kobieta ubrana w moją sukienkę – mówi matka dwóch synów, których chciałaby pochować. – Uprzejmie pokazała mi i parter, i piętro. Oprowadzała mnie tak, jak oprowadza się kogoś, kto chce kupić mieszkanie i nie zna rozkładu domu. W pokoju młodszego syna uprzejmie przypomniała mi, kto wygrał tę wojnę i czyja teraz jest Srebrenica. Ja też uprzejmie podziękowałam i wyszłam.

Tak jak Mubina, żona weterynarza: przyjechała do Bratunaca, weszła do domu swoich rodziców, popatrzyła, porozmawiała, podziękowała i wyszła.

– Żona weterynarza? – odzywa się nagle mąż Zinety. – Czy on miał na imię Hasan? Czy jego żona chciałaby wiedzieć, jak zginął?

Upał

Mubina nie chce iść do Srebrenicy.

Są tam domy, bloki, szkoła i cerkiew na wzgórzu. Jest cisza i upał.

Kobiety nie dbają o urodę, mężczyźni się nie golą. Niedbale odziani, siedzą przed domami i patrzą.

Z okolicznych lasów ściągnęli już drewno na zimę, porąbali, ułożyli w sterty. Tyle było do roboty. Z piętnastu

tysięcy mieszkańców dzisiejszej Srebrenicy tylko tysiąc ma pracę. Najczęściej w niedalekiej Serbii. Za dzień harówki dostają tam po dziesięć marek niemieckich. Tutaj fabryk nie ma.

Hale w Potoczarach stoją puste.

Na piętnaście tysięcy mieszkańców – jedenaście to nietutejsi. Są z Sarajewa, z Vogoszczy, z Ilijasza, z Donjego Vakufu, z Bugojna, z Glamocza. Dlatego większość nie potrafi wskazać ani jednego miejsca, gdzie jeszcze pięć lat temu stał meczet. Pięć białych meczetów stało kiedyś w Srebrenicy. Po żadnym nie ma śladu, kamienia.

Siedzą i patrzą. Nie uśmiechają się. Nie chce im się nawet między sobą rozmawiać. Bo o czym?

Mogliby gdzieś pójść, choćby popatrzeć na bazar. Bazar to dwa stragany w centrum. Sprzedaje się tu zwiędłą sałatę i zwiędłe ogórki.

Nikt nie idzie.

Nie ma ludzi, na bazarze cisza.

Nieopodal psy wylegują się w mocnym słońcu, leżą na środku skrzyżowania bez żadnej obawy. Małe dzieci siedzą na jezdni bez żadnej opieki. Kury grzebią w asfalcie niczym niezagrożone.

Nic nie jedzie.

Na szkolnym boisku starsze dzieci grają w piłkę – to jedyny ruch na srebrenickich ulicach.

Nastolatki siedzą w salonie gier, ale nie grają. Nie ma pieniędzy na żetony.

Niektórzy z tych, co siedzą i patrzą, chcieliby wrócić do swych przedwojennych domów. Do Federacji Bośniacko-Chorwackiej. Kto ma czyste sumienie – ten może wracać. Mówią tak po cichu, kiedy nikt nie słyszy. Ale nie wracają. Tłumaczą, że przez tutejszych polityków. Lokalni serbscy politycy ostrzegają, że powrót to ucieczka.

I zdrada! Żadnych powrotów! Tu trzeba trwać! A kiedyś będzie lepiej…

Żonkile

Mubina niedługo spotka męża Zinety i dowie się, jak zginął Hasan.

Na razie w Bratunacu ma jeszcze jeden dom do zobaczenia. Dom stoi nad miastem, jest piętrowy, z czerwonej cegły. Budował go weterynarz Hasan. Kiedy na świat miało przyjść drugie dziecko, stwierdził, że w mieszkaniu w centrum będzie rodzinie za ciasno.

Postawił ściany i dach. Wstawił okna i drzwi. Nie zdążył zrobić podłóg.

Mubina wyjaśniła synom, co się stało z ich ojcem. Powinni wiedzieć. Ale nie rozmawia z nimi o tym za często. Ani przy nich, kiedy przychodzą owdowiałe koleżanki. Dlatego – zdaniem Mubiny – to, co robią kobiety w Vogoszczy, nie jest fair. To ciągłe rozprawianie o Potoczarach w obecności dzieci. – One je obciążają tym – mówi, kiedy idziemy w stronę ceglanego domu – czego same nie są w stanie udźwignąć. Lepiej, żeby dzieci zapomniały. Ale czy

w Vogoszczy o czymkolwiek można zapomnieć? Vogoszcza to getto, z którego trzeba uciekać. Tylko nie ma dokąd.

Jesteśmy przed ceglanym domem. W środku głuchoniema Serbka z dziećmi, mąż gdzieś wyszedł na chwilę. Jest wystraszona, rozmowy raczej nie będzie. W ogródku, pod ścianą sąsiedniego domu (to ruiny domu rodziców Hasana), Mubina zrywa żonkile.

– Ja je posadziłam – tłumaczy głuchoniemej i zrywa je dalej. Zrywa wszystkie, jak leci.

– Nie wrócimy na swoje – mówi, kiedy idziemy z powrotem do centrum. – Nie po to Serbowie rozpętali wojnę i czyścili z nas miasteczko po miasteczku. Jeśli zabiłeś tylu ojców, mężów i synów, to nie chcesz widzieć wdów. Po co mamy ci przypominać, kim jesteś. To ględzenie o powrotach jest wielką manipulacją świata: patrzcie, jak wszystko się dobrze skończyło! Serbowie, Muzułmanie i Chorwaci znowu mieszkają razem w wieloetnicznej Bośni. I nasi politycy to powtarzają, żeby światu się przypodobać. Nie wiedzą, co mówią. Chyba nigdy nie byli w Bratunacu.

Czasem synowie pytają Mubinę o szczegóły. Na przykład: jak długo by się szło przez góry ze Srebrenicy do Sarajewa? Te sto pięćdziesiąt kilometrów. Bo może od tych pięciu lat tata wciąż idzie.

Z pewnością wkrótce Mubina będzie im tłumaczyła, po co muszą jechać do Tuzli i tam oddać krew. Może będą pytali, co to jest DNA. Co to są chromosomy? Dlaczego mamy połowę chromosomów po tacie, a połowę po mamie? Dlaczego chromosomy tak długo trzymają się w kościach?

Być może synowie zapytają, kim jest ten pan, który coraz częściej bywa u nich w mieszkaniu.

Mubina często myśli o nowym mężu i w przeciwieństwie do kobiet zamieszkałych w Vogoszczy otwarcie się do tych myśli przyznaje: kobiecie ciężko samej odbudować dom, ciężko wychować synów. I Koran mówi wyraźnie, że wdowa powinna wyjść za mąż.

– Ale czy ja jestem wdową? – Mubina trzyma w ręku pęk żonkili. Liczy pasażerki. Wszystkie już są w autobusie, odjeżdżamy do Sarajewa. – Dobrze, że przyjechałam. Bo zobaczyłam. Wszystko jest jasne, nie ma nad czym rozmyślać. To już nie mój Bratunac.

Szczęście

Mąż Zinety czeka przed blokiem w Vogoszczy.

– Tamtego lipca – mówi do Mubiny, zaraz po powitaniu – szliśmy wszyscy przez góry.

– Przez Buljim szliście?

– Tak. Tam rozdzieliłem się z młodszym synem, żeby choć jeden z nas przeżył.

– Słusznie.

– Obiecaliśmy sobie, że żaden z nas nie da się wziąć żywcem. Wiesz, co Serby robili z naszymi?

– Wiem – mówi Mubina.

– Krzyżowali…

– Wiem.

– Pierwszego dnia szliśmy bez kłopotów, ale powoli. I Hasan szedł z nami. Drugiego dnia, gdzieś nad Kravicą, wpadliśmy w serbską zasadzkę. Chłopaki wariowali, wkładali sobie granaty w usta. Huk, raz-dwa, masakra straszna. Hasan, inaczej niż wszyscy, przyłożył sobie granat do brzucha. Skulił się, o tak, i już.

Teraz mąż Zinety patrzy w ziemię.

– A ty? – pyta Mubina po chwili. – Jak przeżyłeś?

– Pod trupami. Ale co to za życie. Młodszy syn wyjechał w świat, starszy…

– Wiem.

– Nie płacz, Mubina. Ty się ciesz. Ja to byłbym szczęśliwy, gdybym wiedział, że nasz Kiram wysadził się granatem.

– Tak, dobrze jest wiedzieć. Dusza od razu mniej boli.

– Nasz Kiram został w Potoczarach. Tyle wiem. Wszedł do hali.

Sen

– Kobieta może żyć bez mężczyzny – Mubina mówi nazajutrz. – Ja tak będę żyła.

Co jakiś czas we śnie będzie odwiedzał ją Hasan. Tak jak dzisiejszej nocy. Pojawił się na chwilę i zaraz odszedł. Chciała za nim pobiec, nie mogła zrobić kroku.

Wdowa

Nowe Serbskie Sarajewo i Serbska Ilidża to gminy, które graniczą ze stolicą Federacji Bośniacko-Chorwackiej.

Sarajewo: żebracy, nędza, bezrobocie, problemy, jak wszędzie w byłej Jugosławii. Ale jest też uśmiech, muzyka, kawiarnie (setki kawiarni!), hałas, tłum na deptaku i pieniądz: kolorowo ubrana młodzież w klubach techno, studenci w salach wykładowych, zadbane kobiety na zakupach, biznesmeni w dobrych samochodach, cudzoziemcy na spacerach (mieszka ich tu ponad piętnaście tysięcy), emeryci na skwerach, melomani na koncertach. Są tam piękne, jasne mieszkania, wielkie supermarkety, dobre księgarnie (drogie), kilka rozgłośni radiowych, niemieckie i tureckie banki (z bankomatami – to nowość), amerykańskie filmy (najnowsze), szkockie trunki, francuskie kosmetyki, holenderskie czekolady, chińskie bibeloty. Jest lotnisko, ruch, powietrze.

Tutaj (przez drogę, ale w Republice Serbskiej) nie ma kina, teatru, przemysłu, eksportu. Skutki wieloletniej izolacji od świata i zakazu handlu z Serbią, wymuszonego w czasie wojny przez Zachód. Nie ma tu nawet porządnego sklepu. Są kiepskie uczelnie, zresztą ludzi i tak nie stać na naukę. Jest bezrobocie (już osiemdziesiąt procent, wśród

kobiet blisko sto i żadnych zasiłków), szara strefa, czarny rynek, przestępczość, korupcja, przemoc w domach (w Serbskiej Ilidży ostatnio zdarzyło się dziesięć zabójstw w rodzinach: dzieciobójstwo, mężobójstwo, bratobójstwo, matkobójstwo, jak kto chce). Są prochy, wódka, depresje, poronienia, rozwody, samobójstwa (najczęściej strzał w łeb), konflikty przez płot, agresja, obłęd. Jest głód, ciasnota, życie w komórkach albo w zbiorowych ośrodkach, anemie u dzieci, częste infekcje, moczenie nocne. Bezzębne szczęki, dziurawe buty, lenistwo, niemoc, ciągłe roszczenia. Pretensje do Muzułmanów, Europy, Ameryki i do własnego rządu Republiki Serbskiej. Czekanie na pomoc, która znikąd nie nadchodzi. O tym wszystkim, choć może nie wprost, mówi Danilo Marković – szef Centrum Pomocy Socjalnej w Serbskiej Ilidży.

– Kto jest temu winny? – pyta dyrektor Marković. – Wojna. Kto nam ją tutaj zrobił? Nowy światowy porządek. Zniszczono Związek Radziecki, a potem naszą armię. Czwartą armię świata miała stara dobra Jugosławia! Produkowaliśmy broń, byliśmy konkurencją dla całej światowej zbrojeniówki. I zrobili nam wojnę. Żebyśmy tę broń u siebie zużyli i potrzebowali jej jeszcze więcej. Świat zrobił z nas dzicz, a my jesteśmy normalni. Broniliśmy tylko naszych domów, kobiet i dzieci. Ja wiem, co się stało w Srebrenicy. Zginęli ludzie. Ale w Sarajewie więcej zginęło Serbów niż tam Muzułmanów. To musicie wreszcie zrozumieć, a nie wymyślać te pokojowe bzdury w Dayton, masowe groby, trybunały i takie tam.

Większość tutejszych dawniej mieszkała w Sarajewie. Choć uciekli niedaleko, czasem kilkaset metrów, teraz są uchodźcami.

Na przykład Stojanka, lat trzydzieści sześć, dwoje dzieci. Znamy się nie od dzisiaj: mieszkała z mężem prawie w centrum, z okien patrzyli na meczety starego miasta. Ona była ekspedientką, on robotnikiem w fabryce. Oblężenie zastało ich w mieście (1992). Po kilku miesiącach postanowili przedrzeć się do swoich (wielu Serbów w Sarajewie zostało do końca, żyli albo ginęli jak inni mieszkańcy).

Dzisiaj spotykamy się znowu. Stojanka idzie sarajewską ulicą. Już ciemno, ale i tak widać, że jest kobieca, krucha, delikatna jak wtedy.

Teraz tutaj nie mieszka, wpadła do centrum na chwilę.

Jest wdową. Kiedy wydostali się z oblężenia i dotarli do swoich, męża od razu wzięli do armii i kazali strzelać do miasta, z którego uciekł. Zginął od odłamka. (Serbscy mężczyźni zwykle ginęli na froncie. Muzułmanie najczęściej od strzału w tył głowy. I w dół. Serbów w tej wojnie zginęło dwukrotnie mniej niż Muzułmanów).

Za poległego męża Stojanka dostaje od Republiki Serbskiej sto bośniackich marek miesięcznie (na nic nie starcza).

Dzieci rosną. Teraz mieszkają w obcym muzułmańskim domu. Właściciel (i on uciekł do swoich) ostatnio zgłosił się z odpowiednimi papierami, by odzyskać majątek. Choć dom

stoi w Republice Serbskiej, Muzułmanin chce znowu w nim mieszkać.

Stojance grozi eksmisja. Płacze: tylu nas wymordowali! Jak żyć koło siebie po tym wszystkim? Jak spojrzeć sobie w oczy? Przecież ludzie nie są z kamienia. Dokąd teraz pójść z dziećmi? Do baraków? I po co ta wojna?

Mieszkanie z widokiem na meczety nie było własnością Stojanki. Nie ma czego odzyskiwać.

Stojanka nie ma nic. Pójdzie do baraków. A jeśli tego nie wytrzyma, to do psychiatryka.

Uciekali z miasta ze strachu przed Muzułmanami. Tak dzisiaj wspomina.

Ma słabą pamięć: bała się zimna, głodu i kuli serbskiego snajpera. Tu, gdzie teraz stoimy, nie mogłaby wtedy stać. Snajper trafiłby ją w mózg.

Serbowie przez trzy lata trzymali miasto w oblężeniu, nie działały wodociągi, nie było gazu, prądu. Strzelali precyzyjnie w czoło albo hurtowo: w całe kolejki po wodę i chleb.

Trudno dzisiaj przyjść do miasta jak gdyby nigdy nic. Usiąść w kawiarni pomiędzy rodzinami ofiar. Pomiędzy tymi, których się wciąż nienawidzi. Od których się uciekło. Spojrzeć sobie w oczy. Zamówić kawę, uśmiechnąć się. Porozmawiać o faktach. Uzgodnić, jak było. Wydać zbrodniarzy.

Serbscy mężczyźni spod Sarajewa w Sarajewie raczej nie bywają.

Stawiają krzesła przy dziurawej drodze w Republice Serbskiej. Siadają, kładą dłonie na kolanach i patrzą.

Nieliczni Serbowie (częściej Serbki) odwiedzają miasto, kiedy zapada zmierzch.

– Niektóre serbskie wdowy – dyrektor Centrum Pomocy Socjalnej ścisza głos – wieczorami zarabiają na sarajewskich ulicach. Mają dzieci do nakarmienia. Nas to boli, ale Republika Serbska nie może im pomóc.

Przedmieścia

Teraz jesteśmy w Sokolacu, pięćdziesiąt kilometrów na wschód od Sarajewa (tędy można jechać do Srebrenicy albo stamtąd wracać), Republika Serbska.

Południowe słońce pali, drzewa dają cień. Ludzie leżą pojedynczo, dwójkami albo w większych grupach. Ledwo ich widać w żółtej wysokiej trawie. Nie ruszają się. Leżą zwykle na brzuchu, twarzą do ziemi, tak im chyba wygodniej. Nic nie mówią.

Milczą i ci, którzy usiedli na ławkach: licho odziani, z tłustymi włosami, bez zębów, w dziurawych butach albo bosi. Siedzą ciasno koło siebie, jak w kinie. Kilka godzin temu położyli dłonie na kolanach i bez żadnego ruchu patrzą.

Są tu drzewa, alejki i kilka murowanych budynków (w środku cuchnie moczem). Jest dziura w płocie z jednej strony parku, otwarta brama z drugiej.

Za bramą jest pięknie, niewysokie pagórki, wielka przestrzeń: przedmieścia Sokolaca.

Za dziurą w płocie – szare baraki. Kilkanaście podłużnych drewnianych klocków. Wisi pranie, jakby ktoś tam mieszkał. Ale nikogo nie widać. Można tam pójść, sprawdzić: może ktoś jest w środku.

Nikt nie idzie, nikt stąd nie wychodzi, lepiej nie. Siedzą i oglądają: każdy swój własny film.

Ktoś jednak krzyczy, wyje raczej.

Ktoś się śmieje. Patrzy w lusterko.

Wali pięściami we własną czaszkę.

Płacze.

Wybałusza oczy, pokazuje język.

Sika na trawę.

Ktoś inny w spodnie, cieknie mu z nogawek.

Ktoś spuszcza się.

Ktoś wstaje z ławki: kobieta po czterdziestce. Podbiega do nas, łapie za rękaw, prosi o dinara, choć dinarów nie ma tu już od lat. Mówi, że jest głodna. Podbiega mężczyzna. Wszyscy tutaj są głodni. Podchodzi staruszka. Nikt ich nie odwiedza. Nikt z nimi nie rozmawia. Nikogo nie mają.

Czasem przyjdzie ktoś w białym kitlu, da tabletkę. Albo krzyknie. Popchnie. I pójdzie. Jak to w psychiatryku.

Słońce już na zachodzie. Chłodniej. Ludzie za płotem wyszli właśnie z szarych drewnianych baraków.

Kucharze

Kobiety z szarych baraków – tak to wygląda przez dziurę w płocie – zaparzyły popołudniową kawę. Podały mężczyznom.

Mężczyźni usiedli pod drewnianymi ścianami, na przyzbach. Wypiją kawę, zaczną pić rakiję (sami ją pewnie zrobili, rzadko kto kupuje tu wódkę).

Dzieci kopią piłkę, grają w kosza, szarpią się.

Kobiety wieszają pranie albo karmią świnie, mają tu kilka chlewów. Albo jedzą. Większość kobiet siedzi.

Kiedy przechodzimy przez dziurę w płocie (chcemy ich zapytać, kim są), dzieje się coś niezwykłego: mężczyźni patrzą najpierw na nas, później po sobie, wstają. Teraz widać, jak są ubrani: połatane spodnie, rozciągnięte podkoszulki, rozczłapane buty. Jest zamieszanie. Ci, którzy piją kawę przed swoimi drzwiami, wstają powoli i powoli wchodzą do środka. Pozostali mają trochę dalej (kilkanaście, kilkadziesiąt metrów), nie mogą więc tak łatwo ukryć paniki: pierzchają spłoszeni jak leśne zwierzęta. Gubią buty. Chmura dymu, którą zostawili, wisi jeszcze w powietrzu. Tlą się pety, których nie zdążyli przydeptać. Teraz słychać, jak od wewnątrz przekręcają klucze.

Co ich wystraszyło? Nasz aparat fotograficzny. W Republice Serbskiej mężczyźni unikają zdjęć, chowają twarze. Kiedy pojawiają się obcy, serbskich mężczyzn nie widać, wyparowują. Ale nie trzeba przyjeżdżać aż na przedmieścia Sokolaca, by się o tym przekonać. Wystarczy włączyć program telewizji Republiki Serbskiej (można ją złapać także w Sarajewie). Dziennikarze czasem odwiedzają serbskie wsie i miasteczka, by sprawdzić, jak ludzie żyją. Na ekranie zawsze narzekają kobiety. Mężczyzn nie ma. Tutejsi mężczyźni boją się, że ktoś (ofiara, która przeżyła) ich rozpozna i doniesie prokuratorom Międzynarodowego Trybunału: że tutaj są ci, którzy grali w nogę

muzułmańskimi czaszkami, albo ci, co zmuszali muzułmańskich mężczyzn do odgryzania jąder innym muzułmańskim mężczyznom.

Serbscy mężczyźni drżą, że rozpoznają ich muzułmańskie kobiety. One, jak mało kto, pamiętają ich twarze, smród i siłę.

Wszyscy w Bośni wiedzą, że Międzynarodowy Trybunał w Hadze ma dwie listy zbrodniarzy, których ściga: jawną i tajną.

Na jawnej liście jest Radovan Karadžić (w czasie wojny w Bośni przywódca tutejszych Serbów), Ratko Mladić (wtedy zwierzchnik armii) i Slobodan Miloszević (wódz Jugosławii, zdetronizowany, aresztowany i przewieziony do Hagi, odpowie nie tylko za zbrodnie w Bośni, ale także za te w Chorwacji i Kosowie).

Na tajnej liście, jeśli taka istnieje, jest wielu serbskich mężczyzn (z pewnością są i Chorwaci, i trochę Muzułmanów). Podobno tysiące. To możliwe. Zamordować dziesiątki tysięcy ludzi to niełatwa praca.

Ci mężczyźni w Republice Serbskiej, z którymi uda się pogadać, opowiadają: w czasie wojny byliśmy kucharzami. I ci z Serbii, którzy przychodzili tutaj im pomóc, też jedynie gotowali. Wszyscy ciągle to powtarzają, także między sobą, chyba już w to uwierzyli.

Ale się kryją: okna szarych baraków uchylają się, falują firanki.

Kobiety zapraszają nas na kawę. Siadamy na przyzbie.

To serbscy uchodźcy: z Sarajewa, z Hadżiciów, z Rajlovaca. Teraz mieszkają tam Muzułmanie. Układ pokojowy z Dayton włączył te miasta do Federacji.

Przypomnijmy: Federacja Bośniacko-Chorwacka i Republika Serbska to dwie części dzisiejszej Bośni i Hercegowiny. Są tu dwie policje, dwie armie, dwa ministerstwa zdrowia, edukacji, finansów. Są trzy społeczeństwa: serbskie, muzułmańskie (bośniackie) i chorwackie. Nad wszystkim stara się czuwać Wysoki Przedstawiciel Narodów Zjednoczonych. Porządku pilnują żołnierze z wielu stron świata, tzw. Stability Forces (SFOR).

W Bośni i Hercegowinie trzeba pilnować porządku.

Kobiety siedzą przed barakami i narzekają: nie ma pracy, nie ma pieniędzy, nie ma co jeść.

Mają wysokie ciśnienie, wieńcówkę, cukrzycę, wysoki cholesterol, opuchnięte nogi, złe sny i zszarpane nerwy. Każdy ma tu swój własny film. Ktoś krzyczy, ktoś wyje. Ktoś się śmieje. Wali pięściami we własną czaszkę. Płacze. Jak żyć spokojnie, kiedy ciągle awantury, pięści, noże. Rany cięte, rany kłute. Nie raz, nie dwa faceci pocięli się tu nożami. Albo skopali starą kobietę. Pogotowie, policja. Wszystko przez te ciasne pokoje (nie możemy wejść do środka), które trzeba dzielić z obcymi. Ktoś źle postawił buty, źle otworzył okno, kichnął za głośno i już bitka.

Kobiety pytają: po co była nam wojna? po co ginęli nasi synowie?

I odpowiadają: po nic, po strach, tułaczkę i krew, po życie w barakach.

A przed wojną był dom, w każdym domu – pełna zamrażarka.

Teraz puste garnki. Za puste garnki ginęli.

Informują: Miloszević nas zdradził. Podpisał w amerykańskim Dayton zgodę na Republikę Serbską w Bośni.

Inną miał umowę z narodem. Mieliśmy być w Serbii, razem z naszymi serbskimi braćmi. O to biliśmy się, o to walczył nasz Karadżić. Za to musi się dzisiaj ukrywać.

Kobiety łapią się za głowy: teraz nam każą znowu żyć z Muzułmanami. Nie może tak być (układ pokojowy z Dayton mówi, że każdy ma prawo wrócić do swojego przedwojennego domu: Serbowie do Federacji, Muzułmanie – do Republiki Serbskiej. Nie będzie terenów czystych etnicznie, czego chcieli Serbowie).

Stare kobiety proszą: o voltaren do smarowania obolałych stawów, o okulary, o coś słodkiego.

I żeby trochę z nimi porozmawiać, bo nikt ich nigdy nie odwiedza. Nikogo nie mają.

Garaż

Na przedmieściach Sokolaca zaraz zajdzie słońce. Serbskie kobiety wciąż siedzą przed szarymi barakami.

Jest i mężczyzna: Misza. Przyszedł skądś przed chwilą i wcale się nie chowa. Wypijemy po kieliszku rakii.

Mówi nam, kogo nie lubi, choć wcale go o to nie pytamy: Muzułmanów, to oczywiste; Anglików, bo dumni;

Amerykanów, bo nienawidzą Serbów; Polaków, bo wstąpili do NATO; Rosjan, bo zawsze zdradzą Serbów.

Misza pochodzi z Gorażda. Nie ma żony. Była w autobusie, w który walnął granat.

Znamy tamte wypadki: w mieście oblężonym przez Serbów Muzułmanie trzymali serbskich zakładników. Z czasem zakładnikom pozwolili wyjechać do swoich.

Serbskie kobiety i dzieci wsiadły do autobusów.

Nim dotarły do swoich, Muzułmanie zaatakowali konwój. Zginęło sto, może dwieście osób (dane nie są dokładne). Wśród nich i żona Miszy.

Nie mieli dzieci.

Misza ma czterdzieści lat i dom w Gorażdu, którego nie może odzyskać. Gorażde jest dzisiaj muzułmańskie. Misza nie może pojechać do Federacji, do muzułmańskiego urzędu. Poznają go tam dawni sąsiedzi, będą chcieli wyrównać rachunki. Więc lepiej się stąd nie ruszać.

Nie ma pracy (jest mechanikiem samochodowym), już jej nawet nie szuka. Uśmiecha się, gdy pytamy, skąd ma na chleb. Nie powie.

Nie mieszka w baraku. Nie mógł znieść spania w dusznym pokoju z chrapiącymi starcami. Postawił sobie garaż bez okna. Ściany od wewnątrz wytapetował zdjęciami nagich kobiet. Tutaj śpi.

Szuka nowej żony i wie: żadna nie przyjdzie do garażu bez okna.

Żadna z tych, które siedzą przed barakami i patrzą. Mają po dwadzieścia lat, smutne miny. Pytają nas, czy wierzymy

w Chrystusa.

Dobrze, porozmawiają, z chrześcijanami mogą porozmawiać.

Od lat nigdzie nie były. Nie widziały morza, dużego miasta, innych ludzi. Są ciekawe, jak jest w Sarajewie (to pięćdziesiąt kilometrów stąd). Chętnie by tam pojechały, ale się boją: prowokacji na ulicy, pobicia, poniżenia. Ktoś im powiedział, że tak tam teraz traktują serbskie kobiety.

Zapraszamy je na wycieczkę do Sarajewa.

Usiądziemy w kawiarni przy Ferhadii (główny deptak miasta). Zjemy lody, wypijemy colę, nie doczekamy się żadnych przykrości. Niech serbskie dziewczyny spod Sokolaca zmienią zdanie o Sarajewie.

Nie chcą, nie pojadą. Mówią: brzydzimy się Muzułmanami. Zabijali Serbów, wypędzali nas z domów. Teraz domu nie mamy. Sokolac to nie jest nasz dom. To baraki, syf, martwa ziemia. Trzeba uciekać.

Chcą pojechać w świat (ponad sześćdziesiąt procent tutejszej młodzieży chce emigrować): do Australii, Nowej Zelandii, Ameryki. Tam chciałyby wyjść za mąż. Tutaj nie. Bo za kogo? Za Miszę?

Tylko jedna – Sveta – ma odmienne zdanie: chce zostać w Republice Serbskiej, taki jest obowiązek Serbki. Wyjść za mąż, urodzić tutaj dziecko. Syna najlepiej, naród potrzebuje synów. Nie można iść w życiu tylko za pieniądzem. Niech będzie biednie, ale u siebie, bez obcych. A może kiedyś Republikę Serbską uda się połączyć z Serbią. Będzie tu kiedyś dobrze.

Sveta nie jest ciekawa, jak jest w Nowej Zelandii. Nie zniosłaby, że ludzie mówią tam innym językiem.

Może wyjdzie za Miszę, choć jest starszy od niej o drugie tyle. Misza podoba się Svecie: jest przystojny i nie pije za dużo. Tylko musi mieć dom.

Misza zna sposób na dom i szczęśliwą rodzinę. Wojna. Tylko wojna może coś zmienić.

Innej drogi Misza dla siebie nie widzi. Teraz idzie na spacer, wieczorami lubi spacerować. Przechodzi przez dziurę w płocie.

Skały

Na krętej drodze z Mostaru donikąd, w kamiennych górach Hercegowiny, leży miasteczko Nevesinje. W samym centrum urzęduje tu naczelnik gminy pan Boszko Buha: wysoki, szczupły, ogorzały.

– Witajcie! Patrzcie, jaka u nas piękna serbska ziemia.

Ślepa kiszka – tak ludzie nazywają okolicę, którą kieruje naczelnik Buha: spalone słońcem pola, puste drogi, zero ruchu, zero chłodu nawet po południu. Skały, głazy, kamienie. Pusto, surowo.

Kiedy naczelnik Buha mieszkał zupełnie gdzie indziej (działo się to przed rokiem 1992), tutejsi Serbowie (ich była większość), Muzułmanie i garstka Chorwatów produkowali części do samochodów, piżamy, meble i zdrową żywność. Ziemia przeważnie była tu państwowa, ale niektórzy mieli po kawałku pola. Wozili więc do Mostaru płody na jarmark. Robili zakupy. Posyłali tam dzieci do szkół. Kiedyś autobus do Mostaru odjeżdżał co czterdzieści minut. Teraz autobusu nie ma.

Kiedyś mieszkało tu czternaście tysięcy ludzi. Teraz – dwadzieścia tysięcy. Tylko półtora tysiąca pracuje, trzy i pół nie ma żadnej pracy.

Reszta to dzieci – trzeba dać im jeść – i emeryci. Emerytom (jeśli Republika Serbska nie zwleka z wypłatą) pieniędzy starcza na kilka dni w miesiącu. Nie wiadomo, jak żyją potem. Naczelnik Buha nie wie, woli nie wiedzieć.

My wiemy: emeryci siedzą. Rano kładą dłonie na kolanach i bez żadnego ruchu do późnego popołudnia patrzą. Albo do wieczora nawet. Spalają mało kalorii, mogą mało jeść.

Połowa ludzi w Nevesinju to nietutejsi, wśród nich i naczelnik.

Przyszli do Nevesinja wiosną 1992 roku (wtedy zaczęła się wojna w Bośni). Uciekali ze swych wsi i miasteczek po tym, jak serbskie władze ich ostrzegły: Muzułmanie (ewentualnie Chorwaci) podpalą wam domy, zarżną dzieci.

Udało się im dotrzeć do Nevesinja. Dzieci urosły. Mieszkają tutaj do dzisiaj.

Na przykład w drugim domu obok urzędu: same kobiety (tak to przynajmniej wygląda). Dom jest duży, piętrowy, ze schodami na zewnątrz. W każdym pokoju – jedna rodzina. Trzy albo cztery osoby na dziesięciu metrach: dwie wersalki, mały stolik, trochę garnków, portret Karadżicia.

Narzekają: nie ma wody w kranach. Normalka, co drugi dzień nie ma.

Dzieci kończą podstawówkę. Za co je kształcić dalej? Gdzie?

Przed wojną to było życie.

Informują: właścicielem tego domu był Muzułmanin Huso, miał żonę Sabirę. Wyjechali do Sarajewa. Ich córka

cztery lata temu wpadła tutaj na moment, prosiła o album z rodzinnymi fotografiami.

– Tamtej wiosny – mówi naczelnik Buha – tutejsi Muzułmanie wyjechali do Mostaru, Konicza, Sarajewa, Nowego Jorku, Sydney. Do swoich pojechali. A świat ogłosił, że Serbowie to bestie, że mordujemy Muzułmanów.

To było lato, nie wiosna. I naczelnik, i dzisiejsi lokatorzy domu Husa i Sabiry już wtedy mieszkali w Nevesinju. Muszą wiedzieć, co się tu działo.

Huso był emerytowanym kupcem (miał osiemdziesiat lat). Sabira – emerytowaną urzędniczką (siedemdziesiąt). Uczciwie pracowali, zbudowali dom, wykształcili dzieci, starzeli się spokojnie. Aż do tamtego lipca (1992). Do czerwca właściwie, bo pierwsze morderstwa Muzułmanów w Nevesinju zaczęły się 10 czerwca. Najpierw mordowano bogatych, a potem jak szło. Huso musiał wiedzieć o tym doskonale, kiedy w pierwszych dniach lipca rozmawiał przez telefon z synem zamieszkałym w Sarajewie. Nie chciał go martwić. Mówił mu, że wszystko tutaj w porządku.

Nic nie było w porządku. Kilka dni później ich serbscy sąsiedzi (pierwszy dom od urzędu) postanowili zrobić miejsce serbskim tułaczom (dzisiejszym lokatorom). Wyprowadzili Husa i Sabirę za miasto.

Ich ciała ekshumowano w 1997 roku (jeszcze dwóch wujów, ich żony, ich synów). Sabira miała zaszyte w odzieży pieniądze, zegarek i złoto. Nie było problemów

z identyfikacją. Był pogrzeb. Niedaleko, po muzułmańskiej stronie.

Wtedy córka Husa wpadła na chwilę do Nevesinja i poprosiła o album z rodzinnymi fotografiami.

Lokatorzy uśmiechnęli się, oddali album. Córka spojrzała na dom ojca, odjechała.

Góry Hercegowiny

Jest lipiec. W kawiarni Big Ben we wschodniej części Mostaru codziennie przed ósmą zbierają się ci sami ludzie. Słońce już praży. Placyk, na którym ustawiono metalowe stoliki, dzięki wysokim ścianom sąsiednich budynków skutecznie chowa się jeszcze przed upałem. Ludzie w kawiarni uśmiechają się, rozmawiają, czytają gazety, ktoś telefonuje. Widać wyraźnie, że wszyscy się znają. Wszyscy około czterdziestki, nieliczni trochę młodsi, trochę starsi. Czekają na następnych. Następni co chwilę dochodzą, pozdrawiają zebranych, zamawiają kawę.

Jest doktor Ewa Klonowski: w ciężkich butach, krótkich dżinsowych spodniach, lekkiej koszulce i słomkowym kapeluszu.

Jest i Jasna Ploskić (lat trzydzieści dziewięć). Siedzi teraz z Sanją Mulać przy wysokim stoliku. Sanja jest szefową mostarskiego oddziału Bośniackiej Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych. Jasna – jej zastępcą. Z pewnością rozmawiają o tym, dokąd zaraz pojedziemy i czego możemy się tam spodziewać.

Pojedziemy w góry Hercegowiny. Sanja już daje sygnał do odjazdu, choć speleolodzy, na których tak długo czekamy, jeszcze nie dotarli z Sarajewa. I nie dotrą – ktoś coś źle

ustalił, źle zrozumiał, pomylono daty albo nie zdążono na czas podjąć odpowiednich decyzji. W Bośni to wszystko normalka, nie trzeba się dziwić.

Trzeba jechać: z Mostaru na południowy wschód – do Republiki Serbskiej.

Po drodze, w jakiejś serbskiej wsi, dołączają do nas hiszpańscy żołnierze SFOR – ochrona na wszelki wypadek. Teraz z głównej szosy skręcamy w lewo, w białą żwirową drogę. Stromymi serpentynami pniemy się w górę, kilkanaście kilometrów.

Góra jest wielka, licho porośnięta. Spalona ziemia, wielkie szare kamienie, skwar.

Na płaskiej połoninie widać pierwsze drzewa. I gospodarstwo. Ktoś tu żyje, nie wiadomo z czego.

Stara kobieta wychodzi na drogę, ręką chroni oczy przed słońcem, patrzy.

Dziwi się pewnie, że przez jej pustkowie jedzie konwój: jeepy, ciężarówki.

Może dziewięć lat temu też się dziwiła.

Tędy jechali, innej drogi nie ma.

Jechali dniem, jak my, czy kryli zbrodnie w ciemnościach?

Mijamy stodołę, jedziemy jeszcze dalej, w las, w cień.

Sąsiedzi

Zanim nadszedł rok, w którym to wszystko się zdarzyło (1992), Jasna skończyła studia prawnicze, wyszła za mąż za Hasana (miał na imię tak samo, jak mąż Mubiny, która

rwała żonkile), urodziła syna (1987), skończyła trzydziestkę, urodziła córkę (1991). Hasan – ekonomista z zawodu – był człowiekiem sukcesu, miał solidną pensję, ładny dom.

Jego żona nie musiała pracować. – Tak będzie lepiej dla dzieci – mówili. – Małe dzieci na okrągło potrzebują mamy.

Rok, może pół przed tym wszystkim Jasna poczuła niepokój: na ulicach Mostaru serbscy rezerwiści strzelali w powietrze, zaczepiali ludzi, obrażali kobiety.

Dom rodziny Ploskić – własność teściowej Jasny – stał na Szechovinie. To była dzielnica Mostaru zamieszkana w większości przez Serbów przybyłych z niedalekiego Nevesinja (skąd pochodził i Muzułmanin Hasan).

Wiosną serbscy sąsiedzi zapukali do Jasny i poprosili o pożyczenie toreb podróżnych.

Uciekali do Nevesinja, po tym jak w koszarach na północnych przedmieściach wybuchła cysterna z paliwem.

Był 4 kwietnia: strach, zamieszanie, panika. Początek wojny.

Pożyczyła sąsiadom walizki.

– Nigdy im nie wybaczę – mówi dzisiaj. – Mogli przecież powiedzieć: „Jasna, nie jedź do Nevesinja. Tam was nic dobrego nie spotka”

Serbskie wojska zajmowały miasto. Hasan, Jasna, mały Amar i maleńka Ajla, brat Hasana, jego żona i trójka ich dzieci – wszyscy jednym samochodem wyjechali do ciotki, niedaleko.

Tam muzułmańskie i chorwackie kobiety szykowały się do wyjazdu. Miały jechać z dziećmi za granicę, do chorwackich ośrodków dla uchodźców.

Mężczyzn zdolnych do walki za granicę nie wypuszczano.

I Jasna była gotowa do drogi.

Dopadły ją złe przeczucia, że już nigdy Hasana nie zobaczy. – Zostanę – powiedziała do męża.

On ustąpił.

– Tamten czas ludzie już chcą tu zapomnieć – mówi Jasna. – Ja oszaleję, kiedy zapomnę.

Dziś w hercegowińsko-neretwiańskim kantonie poszukuje się około półtora tysiąca zaginionych w tamtym czasie. Może pięćdziesięciu Chorwatów, Serbów jeszcze mniej.

Jasna z mężem postanowili pojechać dalej: w okolice Nevesinja, gdzie bezpieczniej. Tam ich wszyscy znali. Sąsiedzi przecież.

Pojechali do wsi Presjeka, do teściowej. Jechali polami, lasami, górami, w sumie czterdzieści kilometrów. Wszyscy: dwa małżeństwa i piątka dzieci.

Zatrzymali ich serbscy żołnierze, wylegitymowali. Byli uprzejmi, pozwolili jechać dalej.

W Presjece ludzie żyli jak dotąd: budzili się, myli, modlili. Kobiety poiły bydło i wyprowadzały na pastwiska. Sprzątały domy, szykowały posiłek. Mężczyźni reperowali maszyny przed żniwami (uprawiano tu żyto i pszenicę), narzekali na suszę, pili kawę w kawiarni. Była w Presjece kawiarnia, sklep spożywczy, szkoła i ponad trzydzieści parterowych domów z kamienia.

Kamień wszędzie dookoła, nieliczne drzewa koło domostw: śliwy, grusze, orzechy. Nieduże, nie dawały porządnego cienia. W ciągu dnia wszyscy kryli się więc po domach. W murach przyjemnie, na zewnątrz patelnia, skwar.

Ale wieczorem robiło się chłodniej (różnice temperatur między dniem i nocą sięgają tu nawet trzydziestu stopni). Dzieci hałasowały między domami, matki wołały je do kąpieli i kładły spać. Jeszcze siadały na progu, by porozmawiać z sąsiadkami. Planowały na jutro pranie, cerowanie, pielenie grządek, podlewanie.

I Jasna tak żyła przez miesiąc, aż w Presjece ludzie usłyszeli huk. Pomruk raczej: jednostajny, głuchy, stłumiony, ale wyraźny. Niósł się doliną z Nevesinja, przez dwanaście kilometrów. Dolina (równina raczej) to szeroki korytarz zamknięty z dwóch przeciwległych stron potężnymi masywami gór Veleż i Crvanj. Płaski stół: licha trawa, kamienie. Dlatego, choć daleko, tak dobrze było słychać.

Był to huk granatów. Ludzie w Presjece nie wiedzieli, co się dzieje w miasteczku, dopóki nie nadeszli stamtąd pierwsi ocaleni. Mówili: – Mordują.

Pierwsze zabójstwa Muzułmanów w Nevesinju nastąpiły 10 czerwca 1992 roku. Najpierw zabijano bogatych, a potem jak szło.

Wilki

22 czerwca o czwartej rano serbskie granaty spadły na Presjekę.

Jedna kobieta zabita (kto dzisiaj pamięta jej nazwisko?).

Domy płonęły. Upał się wzmagał. Ludzie łapali ubrania, jedzenie, dzieci.

Przerażeni wyszli w kierunku góry Crvanj.

Skryli się w lesie. Nie mogli iść dalej: na wielką, jasną, nagą przestrzeń.

Zapadła noc. Ruszyli przez spaloną Presjekę do wsi Kljuna.

Spotkali Muzułmanów z Kljuny i z innych okolicznych osad. Byli wśród nich i ludzie z Mostaru, których Serbowie wzięli do niewoli i nie wiadomo czemu – wypuścili.

We wsi Kljuna trzeba było porzucić siedemnastu starców. Tych, którzy nie mogli iść przez góry: Jasna pamięta, jak jakiś mężczyzna rozstawał się z matką. Bo nie mógł jej unieść. Zostawił jej trochę jedzenia. Miał żonę, dzieci, nie miał wyboru.

Opuszczonym starcom jedzenie nie na długo się zdało.

Poderżnięto im gardła. Ich martwe ciała rozszarpały wilki, rozciągnęły kości po całej okolicy.

Klatka

Dzieci, kobiety, mężczyźni – szli przed siebie, nie wiadomo dokąd. Byli wśród nich leśnicy, którzy pracowali w tych lasach i zapewniali, że wiedzą, dokąd idą.

Wszystkich doprowadzą do Mostaru, tak obiecywali. W Mostarze było już spokojniej, Serbowie opuszczali miasto, bo się dogadali z Chorwatami. Wcześniej zabili setkę ludzi, ich ciała wyrzucili na śmietnisko (tak zginęli kuzyn i kuzynka Jasny).

Szli na górę Veleż. Deszcz, grad, zimna noc, upalny dzień. Trudno się szło. Jasna z córeczką w objęciach. Hasan z synem.

Ajla – dziewięć miesięcy.

Amar – cztery lata.

Czwartego dnia wędrówki spadł granat. Tuż obok idących. Pewnie przypadkowo, trwały tu wtedy sporadyczne walki serbsko-chorwackie. Był krzyk, panika, gnanie przed siebie. Eksplozja podzieliła tułaczy na dwie grupy. Jasna, jej mąż Hasan, jego brat z żoną oraz wszystkie dzieci znaleźli się w mniejszej grupie. Teściowa – w większej. Większa grupa miała więcej szczęścia. Leśnicy, którzy znali lasy na tutejszych zboczach, też gdzieś przepadli.

Szli: Jasna, jej mąż, ich dzieci, brat męża, jego żona, ich dzieci. Przez cztery dni kilkudziesięcioro ludzi kręciło się w kółko po lesie jak po klatce. Spragnieni, głodni.

Siedmiu serbskich żołnierzy – uzbrojonych po zęby – podeszło z tyłu (był 26 czerwca). Kobiety przytuliły dzieci, mężczyźni wyrzucili pistolety w krzaki. Żołnierze nie przeklinali, nie obrażali. – Nie bójcie się – powtarzali i kazali iść na połoninę Veleż.

Tam były wsie. Już tylko serbskie.

We wsi stała szkoła. Przed szkołą serbscy mężczyźni sprawnie zorganizowali selekcję: kobiety i dzieci na jedną stronę drogi, muzułmańscy mężczyźni na drugą.

Serbskie kobiety krzyczały, jak umiały najpogardliwiej: – Kurwy! Jebane wasze matki!

Muzułmańskie kobiety spuściły głowy.

Jasna jednak patrzyła na drugą stronę drogi. Widziała, jak zabierają Hasana. Nie wiadomo dokąd.

Wrócili z nim za godzinę. Hasan spojrzał na żonę i pokręcił głową na znak, że z tego już nic dobrego nie będzie.

– Co zrobimy z tymi facetami? – spytał jeden z Serbów.

– Poczekajmy, aż przyjedzie komendant – odpowiedział drugi.

Według Jasny chodziło o Zdravka Kandicia. Przyjechał po kilku godzinach, około piątej po południu. Wydał rozkaz – Jasna słyszała.

– Na ciężarówki i do Brezy!

Wtedy nie wiedziała, co to jest Breza. Dziś wie.

Kalosze

Jesteśmy w lesie. Są tu liczne jaskinie, dziury w ziemi. Jest i Gajova Jama – miejsce, które wskazał świadek. Świadka z nami nie ma, świadkowie się boją. Sanja Mulać i Jasna rozmawiały ze świadkiem.

Powiedział im: – W Gajovej Jamie szukajcie.

W Gajovej Jamie (ściślej: nad jamą) robotnicy wycinają krzaki i kilkoma ruchami łopat odkrywają sporą dziurę w ziemi. Nie widać, jak jest głęboka. Zresztą nikt specjalnie jej się nie przygląda, wszyscy skryli się trochę dalej – pod drzewem. Tam doktor Ewa Klonowski wkłada biały foliowy kombinezon i w pasie oplata się linką holowniczą. Nie ma speleologów – trzeba sobie radzić. Do linki przyczepiamy następne kilka linek i drugi koniec plątaniny przerzucamy przez najbliższe grube drzewo.

Doktor Ewa wkłada lateksowe rękawiczki, chwyta latarkę, schodzi do dziury. Jama ma nieregularne kształty. Nie widzimy dna, nie widzimy już Ewy. Ale ona co chwilę pociąga linkę, żeby trochę poluzować, widać chce zejść jeszcze niżej. Nie ma jej pięć minut, dziesięć, dwadzieścia.

– Nic nie ma – wychyla wreszcie głowę spod ziemi i z włosów otrzepuje robactwo.

– Jak to?! – denerwuje się Jasna. – Jak to nic nie ma?

Jasna spodziewała się, że może wreszcie dzisiaj znajdzie czerwone kalosze.

Piwnica

Zapadła noc. Kobietom i dzieciom kazano wsiadać do autobusów, które jeszcze niedawno woziły drwali do lasu.

Ruszyli. Na przedmieściach Nevesinja kazano im wysiadać. Wejść do piwnicy w miejskiej kotłowni.

Zaryglowano drzwi.

Kobiety położyły dzieci na betonie.

Dzieci płakały. Nie było jedzenia, picia, toalety. Brakowało powietrza (jedno małe okienko z kratą).

Kiedy wstał dzień, jakiś serbski chłopiec przez okno zajrzał do piwnicy. Może miał siedem lat, może osiem. Jasna poprosiła serbskiego chłopca o wodę dla dzieci. Chłopiec odszedł, myślała, że wróci. I nie pomyliła się.

– Jebał wam Alija matki! – otworzył butelkę i wylał wodę na oczach spragnionych. Muzułmanin Alija Izbetegović był wtedy prezydentem Bośni. – Niech on wam wody da!

Jasna poprosiła syna, żeby nasiusiał do jakiejś zakrętki. – Jakby to był sok, tak piła – mówi o córce.

Drugi dzień, trzeci. Toaleta nie była już potrzebna, dzieci nie miały czym sikać.

Czwartej nocy, około jedenastej, ktoś zaczął walić w drzwi, przeklinał. Kilku ich było. Nie mieli kluczy, wyważyli drzwi.

Pięciu, dwóch w pończochach na głowach.

Jasna trzymała Ajlę na rękach. I Amar stał tuż przy mamie.

Było ciemno, mężczyźni latarkami świecili po twarzach kobiet. Pewną piękną dziewczynę uratował jej siedmiodniowy synek. – Ona dopiero urodziła – mówili mężczyźni. – Z niej nie będzie pożytku.

Kobiety zrozumiały, po co przyszli. Zaczęły krzyczeć.

Wzięli już trzy: Fadilę i jeszcze dwie piękne siostry.

Wzięli jeszcze Mersadę, matkę dwójki dzieci. I Jasnę.

Jasna wyrywała się, chwycili ją za włosy, bili.

– Nie pójdziesz? – wyjęli noże. – To ci dziecko na twoich oczach zarżniemy.

Poszła.

W piwnicy zostało trzydzieści kobiet i dwadzieścioro dzieci. Także Ajla i Amar.

Imitacja

Jest sierpień. Jasna czeka na nas w kawiarni Big Ben.

Ma dojrzałą twarz, pogodne ciemne oczy (delikatnie podkreślone kredką), umalowane usta (czasem na krótko się uśmiecha), rudą zadbaną fryzurę, złoty łańcuszek, koszulkę na ramiączkach, wojskowe zielone spodnie z kieszeniami na nogawkach, lekkie beżowe pantofle. Piękna, dumna. Taką chce być.

– Taką kochał mnie mąż.

Jedziemy razem w stronę Nevesinja (Republika Serbska BiH).

Jasna (teraz w ciemnych okularach) siedzi na przednim fotelu.

– Tutaj się urodziłam, tutaj umarłam.

Uchyla okno, wiatr rozwiewa jej włosy.

– Życie to imitacja.

Mijamy miasteczko: ludzie spacerują, piją kawę w kawiarniach.

– W każdym z nich widzę mordercę.

Motel nad jeziorem

Pięć najpiękniejszych zabrano nad jezioro Boraćko (był tam motel, domki kempingowe, dawny ośrodek wypoczynkowy), gdzie stacjonowały Białe Orły – paramilitarna organizacja serbska. Byli tam serbscy żołnierze z Banja Luki, z Knina. W czerwonych beretach. Pili. Jeden z nich to Petar Divjaković – zwany Divjak.

Według Jasny najbardziej okrutny. Teraz żyje w Nowym Sadzie (Serbia) i ma szczęśliwą rodzinę.

Kobiety rozdzielono. Jasnę zabrano do motelu. Po drodze zdjęła złoto z rąk i schowała do kieszeni, odruchowo, nie zastanawiała się nad tym. Wepchnęli ją do małego pomieszczenia, dwa na dwa metry. W środku – mężczyzna, którego twarzy Jasna dzisiaj nie pamięta.

Pamięta jego ogromny nóż za pasem.

Siedział na krześle, jej kazał usiąść naprzeciwko.

– Skąd jesteś? Mężatka? Ile masz dzieci?

Odpowiedziała.

– Mąż Muzułmanin?

Odpowiedziała. I dodała, że jej jest wszystko jedno, czy człowiek jest Serbem, czy Muzułmaninem. Nie po narodowości ani nie po religii trzeba ludzi oceniać.

– Balinko! Jak ci tak wszystko jedno, to dlaczego nie wyszłaś za Serba, żeby cię Serb pierdolił.

Balinka – tak w Bośni pogardliwie mówi się o muzułmańskiej kobiecie, tak się ją obraża.

Jasna skłamała, że miała chłopaka Serba, w liceum. Ale nie chciał się żenić.

– Jak miał na imię? – mężczyzna spytał natychmiast.

Cały czas przeszywał ją wzrokiem. Bała się, że gdy tylko spojrzy w bok, on poderżnie jej gardło.

Patrzyła mu prosto w oczy.

– Goran – podała imię kolegi z liceum, tego z pierwszej ławki. I dodała nazwisko.

– Jak się żenicie, to dostajecie dużo złota? Gdzie masz złoto?

Pomyślała, że jeśli się przyzna, że je ukryła – on ją zabije.

– Zostało w Mostarze.

– Teraz ci przejrzę kieszenie – mężczyzna ściszył głos i wyjął nóż zza pasa. – Sam Bóg ci nie pomoże, jeśli coś znajdę.

Poczuła, że to już.

Prosiła Allaha o śmierć od kuli, nie od noża.

Mężczyzna wstał, podszedł, dotknął jej, wrócił na krzesło.

– Wierzę ci.

Weszli inni. Trzech, czterech.

Wśród nich był Petar Divjaković, ten, który dzisiaj żyje w Nowym Sadzie i ma szczęśliwą rodzinę.

Rozpoczął się gwałt.

Pytania, których się nie zadaje

– Rozpoczął się gwałt – tyle Jasna ma do powiedzenia na ten temat. Ale mówi to głośno. W Bośni chyba tylko Jasna Ploskić przyznaje publicznie, że jest ofiarą etnicznego gwałtu: gwałcili ją Serbowie, bo jest Muzułmanką.

Inne zgwałcone kobiety milczą, są pohańbione. Swą hańbę kryją nawet przed mężami (jeśli mężowie przeżyli).

Ale bywają tu i takie kobiety, które – w dyskrecji – dokładnie opowiadają, jak je gwałcono. Relacji wymaga od nich międzynarodowy wymiar sprawiedliwości. W relacjach powtarzają się niektóre szczegóły: kilku mężczyzn, ciemna sala, cios w twarz, beton, rozbieranie nożem…

Nie zadajemy Jasnie żadnych pytań. Nie jesteśmy trybunałem.

Imię i nazwisko

– W każdym z nich widzę mordercę – powtarza Jasna. – Ale kiedy jestem u siebie, w Mostarze, kiedy na nich nie patrzę, myślę inaczej: wszyscy przecież nie zabijali, każda zbrodnia ma swoje imię i nazwisko.

Zbrodnie w Nevesinju: pół tysiąca zabitych cywili.

Novica Guszić – komendant serbskiej armii w Hercegowinie. Niedawno zadzwoniła do niego dziennikarka sarajewskiego „Oslobodjenia” Edina Kamienica. Do Belgradu, tam uciekł. Zapytała o tamte dni w Nevesinju.

Odpowiedział: – A dlaczego nie pytasz mnie o masowe groby Serbów z 1941 roku?

Zdravko Kandić – ten, który kazał wywieźć mężczyzn do Brezy. Ludzie mówią, że mieszka teraz gdzieś koło Trebinja – ale kto dokładnie wie gdzie?

Krsto Savić, zwany Kicio – naczelnik milicji, jeszcze niedawno siedział w więzieniu w Foczy (Republika Serbska BiH). Jest podejrzany o zabójstwo, już po wojnie, serbskiego wojewody. Byliśmy w Foczy, staraliśmy się o rozmowę z Kiciem. Chcieliśmy go zapytać o tamten czerwiec w Nevesinju. Ale w więzieniu już go nie ma. Decyzją serbskiego sądu, choć nie ma jeszcze wyroku, został wypuszczony i będzie odpowiadał z wolnej stopy. Gdzie mieszka? Tego wiedzieć nie możemy.

Porządki

Jasna już wie, co to Breza. Tak nazywają się okoliczne lasy. Tutaj właśnie 18 maja 1999 roku otworzono masową mogiłę. Dół, może pół metra głęboki, dwadzieścia siedem niekompletnych ciał (w ekshumacji brała udział doktor Ewa Klonowski). Była to sekondarna grobnica, wtórny grób.

Jasna wie, że pod koniec sierpnia lub września 1993 roku na rozkaz Zdravka Kandicia i jego zwierzchnika Novicy Guszicia czterech ludzi poszło do jamy (tzw. pierwotnej), by przenieść ciała. Na górę Veleż, do innej dziury w ziemi. Trzeba było zrobić porządki, bo do Nevesinja wjeżdżały pierwsze oddziały Narodów Zjednoczonych.

Po kilku latach Jasna rozmawiała z jednym z tych, który przenosił. Dziś uważa go za brata.

Były więc dwie ekshumacje. Część kości znaleziono w jednej jamie, część w drugiej. Część oprawki czyichś okularów w jednej, odłamaną część w drugiej.

Pierwsza jama, pierwotny grób, dziesięć metrów głęboka. Nad jamą znaleziono sto czterdzieści cztery łuski i telefoniczne kable (wcześniej ich wiązali?). Nie wiadomo, czy zostali zabici zaraz po wywiezieniu sprzed szkoły (26 czerwca 1992), czy następnego dnia. Na większości ich zegarków datowniki zatrzymały się na 28 czerwca.

Jasna odnalazła męża.

Doktor Ewa zlepiła jego czaszkę w całość.

Był pogrzeb.

Drzewa

Płaską, szeroką doliną zbliżamy się do Presjeki. Przejeżdżamy przez wieś, w której urodził się ojciec Jasny i ona się tu urodziła. Wieś nie jest zniszczona, w muzułmańskich domach mieszkają dzisiaj Serbowie.

Teraz Presjeka. Gdzie? Po prawej stronie od wąskiego asfaltu, słabo ją widać. Szare kamienne szkielety domów (bez dachów, okien, drzwi) wtopiły się w tło kamiennego zbocza góry Crvanj. Upał jak zawsze, powietrze stoi, cisza.

Ale jest zielono i po tym można poznać, że tu była kiedyś wieś, siedliska (znamy podobne wsie z południa Polski, z Łemkowszczyzny). Grusze, śliwy, orzechy, czarne bzy, jarzębiny. Drzewa, drzewka, krzaki, jakieś pnącza rozpychają się bezkarnie w sieniach, piwnicach, łazienkach, pokojach, kuchniach, spiżarniach, warsztatach, stajniach, oborach, w szkolnych klasach, w kawiarni, w sklepie. Nikt tego pochodu drzew nie zatrzymuje, nie karczuje, nie

przycina gałęzi. Obfite deszcze wiosną i jesienią dostarczają im życia.

Kilka domów jest nowych. Wychylają się zza ruin, to tu, to tam. Nie pasują do całości. Są otynkowane, mają okna i czerwone dachy. Do Presjeki wraca życie.

Starsza kobieta i starszy mężczyzna wychodzą na powitanie. Są szczęśliwi, że widzą Jasnę. Ubrani, jakby się spodziewali gości: on w beżowych zaprasowanych w kant spodniach i niebieskiej koszuli z kołnierzykiem. Ona w jasnej chuście, schludnej bluzce i wzorzystej spódnicy.

Nie mają dzieci. Nikt ich nie odwiedza.

Serbowie tu nie zaglądają.

Wtedy, gdy tułali się po górach (kiedy spadł granat tuż obok idących), znaleźli się w większej grupie. Większa grupa miała więcej szczęścia.

Do Presjeki wrócili niedawno. Z dotacji Unii Europejskiej odbudowano im ten nieduży dom. Ona posiała kwiatki, posadziła cebulę. On za pomocą gumowych węży odbudował fragment dawnego wodociągu. Mają wodę w kranie, ładną łazienkę.

Do Presjeki nie jeździ żaden autobus.

Raz na tydzień z Nevesinja przyjeżdża jeden Serb i sprzedaje im kawę, cukier, mąkę. Nie ma pracy, taki biznes sobie wymyślił.

Mają sto bośniackich marek emerytury, z tego kupują, co konieczne.

On jest chory na nerki, powinien iść na operację, ale nie ma dokąd. Wszędzie za daleko.

Z tymi nielicznymi sąsiadami, którzy niedawno wrócili, rozmawiają rzadko. Ich domy są rozrzucone (każdy odbudował na swoim) i trzeba by długo iść. A słońce pali. Nikt nie ma siły, wszyscy są starzy, chorzy. Wieczorem jest tu ciemno i cicho, aż strach wyjść pomiędzy ruiny.

W zimie będzie śniegu po pas. Kiedyś drzewo na opał mieli z własnego lasu. Teraz lasu nie ma (Serbowie wycięli). Muszą więc drzewo kupić, przywieźć, porąbać.

– Nie ma tutaj młodości – mówią. – Życie tu wróciło, ale na chwilę. To ostatnie lata Presjeki.

Jest w Presjece cmentarz. Stare pionowe nagrobki (z czasów tureckich, z czasów Tity) chylą się ku ziemi.

Nowych grobów nie ma. Od dziewięciu lat nikt tu nie umiera.

I ona, i on modlą się, żeby dobry Allah zabrał ich do siebie równocześnie.

Nie pytają Jasny o nic. Wiedzą, co przeszła.

Dobra wiadomość

W motelu nad jeziorem Boraćko zgwałcone kobiety zapędzono do prowizorycznego więzienia. Była tam Jasna, Fadila i Mersada, brakowało jeszcze dwóch pięknych sióstr.

Siedziało tam dwunastu innych jeńców. Mówili, że są Chorwatami spod Mostaru.

Nocą weszli Serbowie (czetnicy – tak mówi Jasna). Torturowali mężczyzn.

Kobiety nakryły głowy kocami.

Oprawcy chwalili się przed kobietami, że potrafią zabić nawet dziecko.

Nad ranem przyszedł jakiś człowiek i wyprowadził Jasnę. Mówił jej, że bardzo mu się podoba, że chce z nią spać i tak dalej. Powiedziała o mężu i dzieciach. I że nie wie, co się z nimi teraz dzieje.

Zaprowadził ją do jakiegoś domku kempingowego. Tam czekały dwie piękne siostry. One też już sporo tu przeszły.

Pochodziły z Presjeki i dzięki temu Jasna żyje. Starsza z sióstr pracowała w fabryce tekstylnej w Nevesinju i znała tutejszego komendanta Radoslava Solda.

On obiecał, że je uratuje.

Petar Divjaković obiecał, że je zabije.

Radoslav spytał kobiety, czy mają w Nevesinju jakąś znajomą Serbkę, która dałaby im schronienie.

– Mamy – powiedziały siostry. – Mamy Svetę.

Nad jeziorem Boraćko był jeszcze jeden porządny człowiek, o którym Jasna chciałaby dzisiaj wspomnieć. Student prawosławnego seminarium, którego siłą wcielono do wojska. Spytał Jasnę, dlaczego płacze.

Powiedziała mu o dzieciach w piwnicy: bez wody, bez jedzenia, bez mamy.

– Hańba! – krzyknął. Jasna chciałaby wymienić tu jego imię, ale go nie pamięta.

Nad ranem Radoslav odwiózł ją i dwie piękne siostry do Nevesinja. Co z Fadilą i Mersadą, które zostały z torturowanymi mężczyznami? Jasna nigdy później ich nie widziała. Tych mężczyzn też.

Do dzisiaj są zaginieni.

Znajoma Serbka otworzyła drzwi: – Podpalą mi dom. – Rozejrzała się czujnie i zamknęła drzwi.

– Zawieź mnie do dzieci – powiedziała Jasna do Radoslava (dwie piękne siostry dzieci nie miały).

Kazał im czekać w hotelu. Przydzielił żołnierza do opieki.

– Napijcie się kawy.

Sam pojechał do naczelnika serbskiej milicji i do komendanta serbskiego wojska (ich nazwiska już znamy).

– Wszystkiego się dowiem i wrócę po was – powiedział na pożegnanie.

Wrócił po godzinie i powiedział coś, co Jasna będzie zawsze pamiętać.

– Mam dobrą wiadomość. Dzieci są zdrowe. Wczoraj odwieziono je na wymianę jeńców z muzułmańską stroną. Pieprzę ich, dali nam cztery trupy za cały autobus żywych.

W autobusie miało być dwadzieścioro dzieci.

– A moje były? – poderwała się Jasna.

– Były.

Radoslav spytał, czy mają odwagę iść same przez Veleż, do Mostaru. Tam powinny być dzieci.

– I męża tam znajdziesz – powiedział.

– Pójdziemy.

Zawiózł je do podnóża góry, dał chleb i konserwy.

– Oby Bóg dał, abyśmy mogli się kiedyś spotkać jak ludzie i spojrzeć sobie w oczy. Bądźcie ostrożne.

Wskazał im drogę przez Veleż. Ostrzegł, że jeśli wpadną w ręce szeszeljowców, i Allah im nie pomoże.

– Nikt was nie uratuje. Ani mnie.

Odjechał.

Czołgały się. Wstały, kiedy zapadł zmierzch.

Do niedawna na zboczach Veleża mieszkali jedynie Muzułmanie, teraz tylko bydło na pastwiskach.

– Chodź tu, Glavica! – w końcu usłyszały męski głos. – O, żebyś zdechła!

Kobiety rozpłakały się. Były pewne, że to już. Koniec.

Mężczyzna krzyczał tak na krowę.

– Czetnik nie może znać imienia tutejszej krowy – powiedziała jedna z nich.

– Czekaj! – krzyknęły.

Mężczyzna (chłopak raczej) zaczął uciekać.

– Nasze jesteśmy – krzyczały za nim.

– Sam Allah mnie wysłał, żebym was spotkał – powiedział, gdy się uspokoił. – Idziecie prosto na wieś szeszeljowców.

Szeszeljowcy to paramilitarna organizacja serbska, znana z okrucieństwa.

Odpoczęły w namiocie muzułmańskich pastuchów.

Zaprowadzono je do muzułmańskiej wsi. Tam spotkały muzułmańskich żołnierzy.

Nocą przewieziono je do Mostaru, do zachodniej dzielnicy. W domu dziecka zorganizowano obóz dla uchodźców.

Jasna cieszyła się. Najpierw spostrzegła teściową.

– Gdzie dzieci? – spytała teściowa. – Gdzie Hasan?

– Dzieci wczoraj tu przyjechały. – Jasna rozglądała się dookoła. – Cały autobus.

– Jasna! Żadne dzieci nie przyjechały. Nie ma dzieci.

Dwie kobiety

Po drugiej stronie góry Crvanj (niedaleko jeziora Boraćko) jest jama Borisavac.

Od stuleci tutejsi powtarzali, że to jama bez dna.

Ale teraz (jest koniec sierpnia) już wiemy, że dno istnieje: wystarczy zejść wąskim kominem siedemdziesiąt pięć metrów w dół. Leżą tam kości, świecą reflektory, pracują ludzie.

Nad jamą gromada. Jest i Jasna. Obok doktor Ewa Klonowski, która przed miesiącem złamała nogę w innej masowej mogile i teraz nie może pracować na dole. Postawiono jej monitor, do jaskini spuszczono kamerę.

Widzimy, co się tam dzieje. Bliscy zaginionych też oglądają. Doktor Ewa przez radio dowodzi ekshumacją. Na dnie jamy pracuje Piotr Drukier – młody antropolog z Wrocławia. Razem z nim Amor Maszović – szef Bośniackiej Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych.

W jamie Borisavac spodziewamy się kości dziewiętnastu starców zamordowanych w niedalekiej wsi w lipcu 1992 roku. Z relacji człowieka, który przeżył egzekucję, wynika, że ciała wrzucono właśnie tutaj: do jaskini bez dna.

Teraz pierwsze białe worki (body bags) wyjeżdżają w górę. Robotnicy kładą je na trawie. Bliscy zaginionych stają dookoła, doktor Ewa ogląda kości, sprawnie określa ich wiek i płeć.

Ekshumowano szczątki dwóch młodych kobiet.

A więc są to inne kości. Tego Jasna się nie spodziewała.

– Może to Fadila i Mersada? – pyta, ma mokre oczy.

– Może – mówi doktor Ewa. – Trzeba będzie sprawdzić.

– A czy są tam dzieci?

– Piotr! – teraz Ewa mówi przez radio. – Masz tam na dole dzieci?

– Nie mam. Na razie nie mam.

Szczęście matek

Dzieci zaginione w Nevesinju w czerwcu 1992 roku:

Szipković – (7 dni, bez imienia), Asim Szipković (17 lat), Huso Szipković (3 lata), Huso Aliczić (8 lat), Meho Aliczić (17 lat), Merima Aliczić (5 lat), Nazika Aliczić (11 lat), Saudin Aliczić (5 lat), Salih Alibaszić (16 lat), Ajla Mahinić (1 rok), Ibrahim Mahinić (12 lat), Lejla Mahinić (7 lat), Omer Mahinić (10 lat), Amina Omerika (1 rok), Agan Ploskić (1 rok), Amra Ploskić (5 lat), Emin Ploskić (1 rok), Samra Ploskić (4 lata).

Ajla Ploskić (9 miesięcy). Dziś miałaby dziesięć lat, Jasna liczy lata swym dzieciom. Nie ma zdjęcia córki. Nie zdążyli jej sfotografować.

Amar Ploskić (4 lata), w czerwonych kaloszach. Dziś miałby trzynaście lat. Na zdjęciu siedzi na rowerku.

Jasna jest jedyną matką, która przeżyła kotłownię. Inne matki miały więcej szczęścia: zaginęły razem z dziećmi. Nie pytamy Jasny o dzieci: ile ważyły, kiedy przychodziły na

świat? Jak długo karmiła je piersią? Czy były mądre, wesołe, grzeczne? Jaki był numer czerwonych kaloszy?

Pomnik

Srebrenica – miasteczko w zielonym wąwozie, Republika Serbska. Są tu domy, bloki, szkoła i cerkiew na wzgórzu. Upał. Ludzie siedzą przed domami, które nie są ich. I patrzą. Ktoś się śmieje. Płacze. Nikt nigdzie nie idzie. Nie jedzie. Lepiej nie.

Ale przed niektórymi domami widać ruch. Trwa remont.

Muzułmanki odzyskują swoje dawne domy w Republice Serbskiej, odnawiają je rękami Serbów i Serbom sprzedają. Próbują sprzedać. W sąsiednim Bratunacu dokonano już kilku pierwszych transakcji, w Srebrenicy – żadnej.

Serbowie chcieli serbskiej Srebrenicy, ale nie chcą kupować tu domów. Mówią: nie jesteśmy u siebie. To muzułmańskie miasto, miasto śmierci, krwi. I głosów, które nie wiadomo skąd się biorą. Szeptów, krzyków, lamentów. Bywają podobno tutaj i tacy, którzy słyszą czasem pięciu muezinów, jak z pięciu niewidzialnych minaretów wołają na modlitwę wiernych muzułmanów, których tutaj od kilku lat nie ma.

Dzisiejsi mieszkańcy Srebrenicy mogą pojechać do Sarajewa, Vogoszczy, Ilijasza, Donjego Vakufu, Bugojna, Glamocza. Jeśli mają na autobus. W muzułmańskich urzędach mogą powołać się na układ pokojowy z Dayton

i starać się odzyskać tamtejsze swoje domy (do muzułmańskich urzędów jeżdżą kobiety, serbscy mężczyźni nie lubią podróżować).

Serbowie odzyskują swe domy w Federacji, remontują je za pieniądze Unii Europejskiej. Serbskie kobiety zatrudniają tam muzułmańskich robotników. Wystawiają domy na sprzedaż. Tak zwykle się dzieje. Za otrzymane ze sprzedaży pieniądze kupują domy w Republice Serbskiej, ale nie w Srebrenicy. Nasze władze, mówią, obiecywały nam, że znowu otworzą tutaj fabryki i uzdrowisko. Będzie praca. Uzdrowisko jest. Tylko nikt nie chce tu wypoczywać. Władze chcą zmienić Srebrenicy nazwę: na Srbobran (Serb Broni). Wierzą, że to pomoże: promocja miasta.

Wojna pomoże, mówią w Srebrenicy. Wojna może coś zmienić.

Niedawno w Potoczarach, w polu obok drogi, pod drzewem, muzułmańskie wdowy i matki uroczyście odsłoniły kamień na pamiątkę zagłady: „Srebrenica, lipiec 1995”

I wyjechały tam, dokąd je przed kilku laty wygnano. Wszystko działo się pod eskortą policji.

Wokół kamienia położono dywanową wykładzinę. Nie ma nawet alejki, która do niego prowadzi, jest klepisko. Nikt nie dba o porządek.

Teraz władze Republiki Serbskiej pilnują, by nikt muzułmańskiego pomnika nie ruszył. Pod drzewem postawiono drewnianą budkę wartowniczą. Na budce namalowano barwy serbskie. Postawiono serbskiego

policjanta. Siedzi na krześle, podłożył sobie pieniek pod buty. Dłonie położył na kolanach i bez żadnego ruchu patrzy. Musi pilnować muzułmańskiego kamienia. Pytamy go, dlaczego musi pilnować kamienia. Pali, rzuca peta.

Powrót

Tamtego lata (1992) ludzie przestali mieszkać w Rizvanoviciach, koło Prijedoru. Ich miejsce w sieniach, kuchniach i pokojach zajęły jarzębiny, akacje i bzy. Dachy zaczęły się walić, podłogi gnić. Zniknęły psy, koty. Odleciały gołębie. Krzaki leszczyny rosły na prawym i na lewym poboczu drogi tak bujnie, aż się spotkały nad środkiem asfaltu, tworząc gęsty zielony tunel.

Noce bywają tu czarne i mgliste, bez ludzi musiały wyglądać upiornie.

Dziś jest całkiem miło. Księżyc w pełni. Ludzie pogasili światła, przewracają się z boku na bok.

Zgrzytanie

Pijemy kawę u Halimy (czterdzieści dwa lata):

Przyzwyczaiłam się już. Myję się, wycieram, kładę. Kiedy jest mi zimno, sięgam po tamten czerwony koc. Zasypiam bez kłopotów, od razu, zmęczona całym dniem.

On mnie czasem odwiedza. Ja tych wizyt nie lubię. Po co przychodzi? Wiem, że zaraz odejdzie. Wiem o tym od samego początku. Odwracam się do ściany.

Idź, mówię, idź, skąd przyszedłeś. Ja się zaraz obudzę.

Nie słucha. Siada tu, na wersalce, w nogach. Uśmiecha się. Nie przygarnie mnie nawet. Żeby chociaż wyjaśnił, jak to było. Dokąd wtedy poszedł?

Albo żeby choć spytał o dziecko.

Mogłabym mówić, mówić, wcale nie przestawać.

O tym na przykład, jak karczowałam krzaki. Ręce sobie wtedy poniszczyłam, kręgosłup.

Nic, milczy, kamień. Patrzy tylko, jakby wszystko wiedział. Czasem się złoszczę na niego, że mnie tak zostawił.

Może właśnie wtedy nasz syn przychodzi z sąsiedniego pokoju (o drugiej? o trzeciej nad ranem?), bierze z fotela drugi koc i mnie okrywa.

Kiedy wstaje słońce, wstaję i ja.

– Znowu, mamo – mówi mi syn – znowu w nocy zgrzytałaś zębami.

– Znowu chrupałam? Przepraszam.

– Jakbyś kamień jadła.

Piję kawę, otwieram okno, patrzę. Świat istnieje.

Ostatni dzień wakacji

Dzieci hałasują, kobiety wieszają pranie, mężczyźni przesiewają piasek. Betoniarki buczą, domy rosną. Surowe ceglane mury widać wszędzie dookoła: po lewej stronie drogi i po prawej, tuż przy asfalcie, w polu albo dalej pod lasem. Blisko trzydzieści nowych domów. Z nowych okien (jeśli wychodzą na zachód) będzie widok na Prijedor albo

(jeśli na wschód) na jakąś gęstą kępę krzaków. Krzaki porastają resztki starych domów, w których nikt już nie mieszka.

Będzie pięknie w Rizvanoviciach. Ale jeszcze nie w tym roku.

Betoniarki cichną.

Mężczyznom kończy się urlop, muszą wracać, skąd przyjechali. Ich opalone ładne żony pakują bagaże i po kilka worków papryki (papryka kupiona w niemieckim supermarkecie nigdy nie będzie tak dobra jak ta z ziemi ojców). Kolorowo ubrane dzieci siedzą już w srebrnych mercedesach, w bezpiecznych fotelikach, i machają nam teraz na pożegnanie. Każde dostało po butelce wody mineralnej na drogę.

Tutaj wody do picia nie ma. Wodociąg nie działa od lat, a nieliczne studnie nakryto blachą, eternitem lub dyktą. Nikt z nich nie korzysta, nikt do nich nie zagląda.

Ostatnie pocałunki, łzy. Gospodynie stoją na drodze i patrzą za krewnymi.

Będzie im brakowało bliskich, szczególnie najmniejszych dzieci: pieluch na sznurku, smoczków upadających na podłogę.

Ostatni raz w Rizvanoviciach człowiek urodził się dziewięć lat temu.

Papryka

Na skraju wsi stoją szklarnie. Zbudowano je za pieniądze austriackich rolników i włoskich emerytów. Ich właścicielem jest Stowarzyszenie „Mosty Przyjaźni”, powołane do życia przez tutejsze gospodynie. One tutaj pracują i są szczęśliwe, bo w Bośni (także w sąsiednich wsiach) większość kobiet nie ma pracy.

Dawniej kobiety pracowały w Prijedorze: w urzędach, bibliotekach, sklepach i fabrykach. Dziś w mieście pracy dla nich nie ma. Nawet gdyby była – żadna mieszkanka Rizvanoviciów pracować do miasta nie pójdzie. W Bośni pracę zaczyna się przecież od wspólnej kawy.

O czym przy kawie miałaby rozmawiać z tymi z Prijedoru?

O wymazanych na czarno twarzach? Trzeba by zapytać, kto to był.

O białych ręcznikach? Trzeba by zapytać, do czego służyły.

O zburzonym kościele w Prijedorze? O meczetach? Trzeba by zapytać, kto oszczędził cerkwie.

O tańcach nad rzeką? Trzeba by zapytać, dlaczego już nie ma z kim tańczyć.

W szklarniach rośnie papryka. Paprykę wysiewa się do inspektów dwa razy w roku: pod koniec lutego i w sierpniu. Trzeba odpowiednio przygotować ziemię, w tym pomagają amerykańskie dżdżownice, darowane przez kogoś z zagranicy. To, co urośnie, trzeba posadzić w marcu i we wrześniu. Trzeba pielić codziennie, podlewać co wieczór.

Przy pracy kobiety opowiadają o zakupach, jakie kiedyś robiły:

– Numer kołnierzyka czterdzieści jeden.

– Wzrost metr osiemdziesiąt.

– Metr dziewięćdziesiąt trzy.

– Numer buta czterdzieści trzy.

– Czterdzieści pięć.

– Zawsze był kłopot z dużą numeracją.

Trzeba zamykać szklarnie na noc, żeby papryka nie zmarzła, i otwierać przed świtem, żeby się nie zaparzyła.

– Na plaży graliśmy w siatkówkę – teraz mówią o wakacjach w Chorwacji.

– Dzieci z piasku budowały zamki.

– Taki jeden się topił, mój go wyratował. Groźnie wyglądało.

Zbiory są latem i zimą, w styczniu papryka jest najdroższa. Szczególnie ta z Rizvanoviciów: bez chemicznych oprysków. Paprykę, także pomidory, ogórki, fasolkę szparagową, ziemniaki, kobiety sprzedają na targu w Prijedorze, pięć kilometrów stąd.

Nie lubią jeździć do miasta. Tylko na targu załatwiają sprawy: sprzedają warzywa, potem robią zakupy. Tu jest najtaniej: ciuchy, buty, kosmetyki. Dziadostwo, ale na sklepy nikogo tu nie stać.

Jasminka (szefowa stowarzyszenia, po trzydziestce) kupiła dzisiaj kostium kąpielowy w kolorze stalowym. Zapłaciła dwadzieścia marek, jest zadowolona.

– Patrzcie! Patrzcie! – mruga do nas okiem.

Jutro z koleżankami wybierze się nad Sanę.

Spakują w koszyki burek (pieczone cienkie ciasto z mięsem), kefir i ice tea. Wsiądą do autobusu. Choć mają Sanę blisko (rzeka jest tu szczególnie urodziwa), pojadą do Sanskiego Mostu, trzydzieści kilometrów stąd. Do swoich, do Federacji Bośniacko-Chorwackiej.

Rizvanovici (także sąsiednie wsie: Biszczani, Rakovczani, Hambarine) zawsze były muzułmańskie. Ale od kilku lat zewsząd otaczają je osady czysto serbskie. I serbski Prijedor (przed 1992 w większości muzułmański). Dzisiaj wszędzie dookoła jest Republika Serbska.

Miły widok

Wieczorem u Kemili (trzydzieści cztery lata):

Niedaleko nas stacjonują czescy żołnierze. Zaraz po naszym powrocie jeździli tutaj bez przerwy, żeby nam raźniej było. I teraz pilnują, przywiozą wody.

Blondyni, wysocy, postawni.

Mówią do nas: ahoj! I że jesteśmy ładne. Sąsiadki to może i tak. Malują się, pudrują. Ja? Ja już miłość przeżyłam.

Nasi nastoletni synowie tulą się do mundurów.

Częstują nas słodyczami. Instalację elektryczną zrobią.

Lubią, jak im naszykujemy japrak. Mięso w liściach winogron. Jedzą, miły widok. Chwalą, że jak w domu.

Komendant pilnuje, żeby nie zasiedzieli się u nas do późna. Są zdyscyplinowani, jak to w wojsku. Pakujemy im ciasto na drogę.

Sąsiadki to może i na coś liczą. Ale oni co pół roku się zmieniają, muszą wyjeżdżać. Wracają do swych czeskich dziewczyn.

Kto normalny tutaj zostanie? Kto dzieci spłodzi? Po co?

Plaża

Sana – w przeciwieństwie do innych tutejszych rzek – nie jest bardzo brudna. Nie pływają w niej stare kuchenki gazowe, pralki, kable, telewizory, ramy rowerów, opony od traktorów, wraki samochodów. Czasem jakaś butelka, puszka, nic wielkiego – można się kąpać.

Muzułmańskie kobiety zdejmują spodnie, bluzki, sukienki.

Odkręcają olejki, wzajemnie smarują sobie plecy. Śmieją się.

Wchodzą do wody, pływają. Wychodzą na brzeg, jedna drugą wyciera.

Na plaży są mężczyźni.

Kobiety kładą się na kocu. Piją, jedzą. Rozmawiają o papryce.

Wracają na wieczór. Któraś siada na traktor. Któraś włącza pompę, nalewa wodę z betonowego basenu do metalowej cysterny na przyczepie.

Traktor nie rusza. Wołają majstra z Prijedoru.

Majster właśnie wyszedł z cerkwi, jest uprzejmy, wsiada do samochodu, pyta o paprykę, naprawia traktor.

Kobiety podlewają paprykę, zamykają szklarnie. Myją się, kładą.

Tamten lipiec

U Fadili (trzydzieści jeden lat):

Ładnie tu u nas, prawda? Parter skończony, mamy gdzie mieszkać. Czego się bać? Co mogą mi zrobić? Zabić?

Tu się urodziłam, tu będę żyła. Czy się to śmierdzielom z Prijedoru podoba, czy nie.

Przez Prijedor jeździłam do pracy. Lubiliśmy w mieście kawiarnie nad rzeką. Wieczorami słuchaliśmy tam koncertów, tańczyliśmy, piliśmy coca-colę.

To już nie wróci.

Pracowałam niedaleko, w Keratermie, w fabryce ceramicznej. Produkowaliśmy ognioodporne spirale, grzejniki, wazony, popielniczki, figurki.

Nasi ludzie robili w kopalniach rudy: w Ljubii, w Tomaszicy, w Omarskiej.

Najpierw zwolnili nas z pracy. I mnie, i mojego, wszystkich Muzułmanów. Wyłączyli nam tutaj prąd, zakręcili wodę. Siedzieliśmy w piwnicach, bo strzelali. Chodziło o to, że mamy się bać. Bałam się.

W mieście mieszkało sporo Muzułmanów. Serbowie wywozili ich do obozów. Ale my chyba wtedy jeszcze o tym nie wiedzieliśmy. Kto by uwierzył w takie rzeczy?

Wreszcie ogłosili w radiu (radio mieliśmy na baterie), że mamy siedzieć w domach, bo będą nas spisywać.

Był 20 lipca 1992, siódma rano. W naszych oknach zgodnie z rozporządzeniem wisiały białe flagi.

Podeszli zewsząd, podjechali transporterami. Okrążyli Rizvanovici i sąsiednie wsie. W różnych byli mundurach:

czarnych, granatowych i w moro. Serbowie.

Od Prijedoru szli ci w granatowych. Mieli wysmarowane na czarno twarze. Ciemne okulary, noże, pałki, karabiny, białe ręczniki na ramionach.

Szli od domu do domu. Słyszę ich głosy do dzisiaj. Koledzy z podstawówki, z technikum, z kawiarni nad rzeką. Pojechałabym do trybunału w Hadze i powiedziała o nich międzynarodowym sędziom. Ale kto mnie tam chce słuchać? Kto znajdzie czas?

Niektórzy ludzie zdążyli uciec. I mój poszedł. Pobiegł do lasu.

Nie opuszczam żadnej ekshumacji. Był wysoki, ubrany w niebieską koszulkę i robocze zielone spodnie. Poznam go, pożegnam. Bo jak długo można tęsknić za człowiekiem, o którym wiesz, że już nigdy do ciebie nie wróci?

Tych, co zostali we wsi, wyciągali z domów. Zabijali na podwórkach. Albo tam na skrzyżowaniu, w polu, na łące. Nastolatków też.

Kobietom i dzieciom zabronili podchodzić do okien. Strzelali w szyby.

Noże wycierali w białe ręczniki, szli dalej.

Teraz razem z ziemniakami kości kopię. Czy to mój? Czy mój brat, który akurat dwa dni wcześniej zjechał z Niemiec na urlop? Wszędzie kości sterczą, pływają w studniach.

Sąsiadkę zaciągnęli na strych. Znali ją z Prijedoru, pracowała w restauracji u Muzułmanina. Zgwałcili, zabili, poszli dalej.

Niektórych, jeszcze żywych, pakowali na ciężarówki. Odjeżdżali w nieznane. Dziś wiemy, że do obozów śmierci. Tam ich męczono. I może mój tam cierpiał. Chciałabym wiedzieć jak. Co robili z jego ciałem?

Znam to ciało na pamięć, rozpoznam.

Ta noc, której nie chciałabym już pamiętać, była wyjątkowo czarna. Serbowie wystrzelali wszystkie latarnie. Jak w grobie cicho. Chwytałyśmy dzieci i byle prędzej do innego domu. Niejedna potknęła się o trupa męża. Chciałyśmy być razem, w grupie. Skrzypnęła deska. Zaszczekał pies. Bałyśmy się poruszyć. Lamentowałyśmy tak cicho, że jedna drugiej nie słyszała.

Przyszedł dzień. Podeszłyśmy do okien. O tym, co zobaczyłam, muszę zapomnieć.

Z hukiem wpadli po sąsiadkę, po dwie.

Mamy tu matkę, którą siedmiu zgwałciło. I jej córkę, co miała dziewięć lat. I syna jej zabili. Leżał koło obory, zagrzebała go gołymi rękami. Chcecie z nią porozmawiać?

Zabierali pieniądze, biżuterię, telewizory, garnki.

Ze stodół traktory, maszyny, narzędzia. U nas była bogata wieś, z każdej rodziny ktoś kiedyś wyjechał na Zachód.

Drugi dzień przyszedł, trzeci, czwarty. Siedziałyśmy głodne w domach. Brudne, bez wody. Upał nie do zniesienia. Na ciałach naszych mężów pasły się muchy.

Nie pozwalali nam wyjść z domu, pochować zabitych.

Trupy śmierdziały. I tym z Prijedoru zaczęło to przeszkadzać. Znaleźli sąsiada, miał osiemdziesiąt lat. Kazali mu zbierać ciała. Z jezdni, z łąk. Dźwigał je sam na

ciężarówkę. Synów wrzucił na pakę jako ostatnich. Dwóch ich miał i dwóch wrzucił. Kazali mu na synach usiąść. Odjechali. Dokąd?

Mały traktor

Do pracy w szklarni gospodynie muszą mieć jeszcze glebogryzarkę, siewnik do fasoli oraz mały lekki traktor, którym można jeździć w środku. Mały ciągnik jest szczególnie potrzebny. Ma go tutaj pewien Serb, więc go czasem wołają. I zawsze jest z tym jakiś kłopot.

Mały traktor kosztuje osiem tysięcy marek niemieckich.

Potrzebne są motyki, szpadle, grabie, widły, wózki, taczki.

Kobiety chcą mieć więcej szklarni, aby więcej z nich mogło pracować. Na razie jest robota dla czterdziestu trzech. Każda dostaje miesięcznie sto pięćdziesiąt marek (plus renta po poległym mężu – już prawie trzysta).

Te, które nie znalazły zatrudnienia (jest ich znacznie więcej), mają niewiele ponad sto marek renty. Albo nic, jeśli ich mąż był zbyt młody i pracował zbyt krótko. Jedzą to, co uda im się posadzić: kukurydzę, ziemniaki, bakłażany.

Tamtego lata wreszcie i kobietom kazano wyjść z domów. Kazano iść na plac ogrodzony drutem. Razem z dziećmi czekały wiele godzin na słońcu. Podjechały autobusy. Kazano wsiadać. Bito je. Trafiły do obozów w Trnopolju albo w Keratermie (w fabryce ceramicznej). Kazano wysiadać. Siedziały bez picia i jedzenia, ciągle dowożono

nowe kobiety, zewsząd. Robiło się ciasno. Kazano im wsiadać do autobusów, znowu bito.

Zawieziono je na front i polecono iść przed siebie.

Zamieszkały w ośrodkach dla uchodźców, potem zajęły puste domy. Były to domy Serbów – tych, co uciekli do swoich. Niektóre wyjechały za granicę, głównie do Niemiec. Kiedy w 1995 roku podpisano pokój, bośniackie kobiety zostały poproszone o opuszczenie Niemiec. Wróciły do kraju.

I Serbowie, zgodnie z układem podpisanym w Dayton, wracają na swoje. Tak to wygląda w papierach, bo nic się od wojny nie zmienia: wracają zwykle nie po to, by mieszkać, ale żeby sprzedać dom. Władze opróżniają domy z nieprawowitych lokatorów (eksmitują ich) i oddają majątek właścicielom.

Muzułmańskie kobiety postanowiły wrócić do Rizvanoviciów w Republice Serbskiej. Nie poznały wsi, obejścia skryły się w dżungli. Karczowały krzaki. Doszły do murów domów, które do niczego już się nie nadawały.

Zamieszkały razem w zniszczonym budynku urzędu. Albo w namiotach.

Postarały się o dotacje z Unii Europejskiej. Unia chętnie daje pieniądze tym, którzy wracają w swoje strony. Tak Europa chce zamazać skutki czystek etnicznych, jakie się tu dokonały.

Dostały pieniądze na materiały budowlane. Trzeba je kupić i rozpocząć budowę w ciągu czterdziestu pięciu dni. Kto nie rozpocznie – musi oddać, co dostał.

Nie miały pieniędzy na robotników.

Zadzwoniły do swych krewnych w Niemczech (Francji, Szwecji, Austrii – wszędzie tam, gdzie kiedyś emigrowali mieszkańcy Jugosławii) i poprosiły, by przyjechali mężczyźni. Kto mógł – ten przyjechał. Na urlop z żonami, dziećmi.

Kto nie mógł – przysłał pieniądze. Kobiety pojechały do Prijedoru i tam szukały robotników.

W mieście nie ma pracy, więc serbscy murarze chętnie godzą się budować domy muzułmańskim kobietom.

Stara kobieta

W garażu u Mersady (siedemdziesiąt cztery lata):

Ktokolwiek to zrobił, niech kiedyś zazna tego, co i ja czuję.

Cudze dzieci, wnuki widzisz, płaczesz.

Córek nie miałam, tylko synów dwóch. Nie mam męża, nikogo.

Jednego syna już mi znaleźli.

Na jego pogrzeb przyjechała synowa ze Szwecji. Powiedziała, że wyjdzie za mąż. Moja wnuczka będzie miała nowego ojca. Słusznie.

Budzę się o czwartej nad ranem. Nie wstaję, po co wstawać?

Najwyżej, jak w Sanskim Moście pokazują świeżo ukopane kości, to jadę.

Twoje dziecko zawsze chce ci pomóc. Obce nie zajrzy nawet, nie spyta: masz co jeść?

Ludzie po wojnie się zmienili. Nie odwiedzają się, nie śmieją.

Samotne stare kobiety nie dostają żadnych dotacji. Europa nie chce nam odbudować domów. Nie jesteśmy rozwojowe.

Mój domek rośnie, pomogła mi pewna kobieta z zagranicy. Kiedyś mnie odwiedziła, zobaczyła, jak mieszkam w garażu. Wszyscy w Bośni znają doktor Ewę. Ona kopie u nas kości, identyfikuje ludzi. Znalazła mi syna, obiecała drugiego.

Studnia

Pierwsze dni września. W Rizvanoviciach zamieszanie. Będzie ekshumacja (nie pierwsza tutaj, pewnie nie ostatnia). Ekshumuje doktor Ewa Klonowski, antropolog.

W studni są trzy ciała: dwóch mężczyzn, jedna kobieta. Kim są?

Prawdopodobnie nikim stąd. Być może to ksiądz katolicki z Prijedoru i jego starzy rodzice. Chorwaci. Świadkowie relacjonują, że Serbowie wyprowadzili ich z miasta trzy lata po tamtym lecie – w 1995 roku. Prowadzono ich w kierunku wielkiej zielonej kępy na przedmieściach (dawniej i później: Rizvanovici). Nigdy więcej księdza nie widziano. Teraz widzimy kości.

Kobiety przyszły popatrzeć. Ale niektóre matki myślą o czymś innym. Dotychczas ich dzieci uczyły się w muzułmańskich szkołach w Sanskim Moście albo w Luszci Palance. Ostatnio podrożały bilety miesięczne, matkom zabrakło pieniędzy na codzienny autobus. W tych dniach po raz pierwszy dzieci z Rizvanoviciów poszły do serbskich szkół w Prijedorze. Będą uczyły się cyrylicy. Jak potraktują je serbscy nauczyciele? Jak serbscy rówieśnicy? Czy będą ze sobą rozmawiać? O czym?

W Rizvanoviciach koniec ekshumacji, ekipa jedzie dalej. Do wsi Ljubija, gdzie w odkrywkowej kopalni rudy znaleziono masową mogiłę. Wielka dziura: osiemdziesiąt pięć metrów głęboka, miesiąc pracy, trzysta siedemdziesiąt dwa ciała. Przy niektórych – dowody osobiste.

Są mężczyźni z Rizvanoviciów.

Ewa w domu Mejry

Kto by się spodziewał: szczęście w domu Matki Mejry. Ludzie zjechali się zewsząd, by jej dzisiaj towarzyszyć. Wielka ulga, koniec drogi. Może wreszcie spokojny sen. Jest pogrzeb, modlitwa, grób. Dwa groby. Mejra nikomu nie pozwala płakać: – Jeszcze Nebojsza zobaczy, musimy być godni.

Chcieliśmy z doktor Ewą Klonowski odwiedzić Nebojszę B. Mieszka niedaleko. Ale i na to Mejra nie pozwala: – Nie trzeba, jeszcze nie czas.

Nebojsza B., ten, który kiedyś był chłopakiem Edny córki Mejry, dziś jest policjantem w Prijedorze.

Wybuchła wojna, Nebojsza został śledczym w Omarskiej, Edna – więźniarką. Torturował Ednę, gwałcił.

W Omarskiej widziano także Edvina, brata Edny. Torturowano go na oczach siostry.

Edna Dautović – urodzona 18 marca 1969 roku. Studentka pedagogiki.

Edvin Dautović – urodzony 13 sierpnia 1965 roku. Elektryk.

Teraz imam (młody, przystojny, w drogich okularach) szykuje się, by za zmarłych odmówić Ja-Sin. Tak tutejszym nakazuje Koran. Kobiety w kuchni przygotowują pieczone

jagnię i baklavę – słodkie ciasto. Mejra wyjmuje z szafki nieduży obrus i energicznym ruchem rzuca go Ewie na kolana: – Nogi! Przykryj nogi!

Nietaktowna doktor Ewa! Nie dość, że usiadła razem z mężczyznami (kobiety są w pokoju obok), to jeszcze ubrała się w za krótką spódnicę. Chustki nie ma na głowie. I na dodatek ciągle gada. A imam patrzy.

Doktor Ewa wykopała w Bośni już dwa tysiące ciał. Wyłowiła ze studni, wyciągnęła z jaskini, wygrzebała na wysypisku śmieci albo spod wieprzowych kości.

Dzięki Ewie siedzimy dzisiaj u Mejry i słuchamy, jak imam śpiewa Ja-Sin:

Umarłym przywrócę życie,
a sprawy ich i uczynki
będą zapisane w księdze prawdy.

Księga

Była wiosna 1992 roku. Początek wojny. Muzułmanów z Prijedoru – tam mieszkała Mejra z mężem i dziećmi – zabierano z domów (z ulicy, z pracy, ze sklepu) do obozów w Omarskiej, w Trnopolju albo w Keratermie. Albo wprost do lasu.

Wydana niedawno „Księga zaginionych z gminy Prijedor” zawiera ponad trzy tysiące nazwisk ułożonych według alfabetu. W większości – mężczyźni. Księga jest gruba i ciężka. Na jednej stronie formatu A4 mieści się tylko

dziewięć zdjęć. Na stronie nr 88 patrzą z fotografii Edna i Edvin. Obok nazwiska jakiegoś Ismeta, jakiegoś Derwisza, Seada, Esefa i Fikreta. Oni nie mają fotografii. Ich bliscy z pewnością uciekali z domu w popłochu i nie zabrali zdjęć. Potem nie było już po co wracać. Dziś w Prijedorze jest Republika Serbska Bośni i Hercegowiny, w domach Muzułmanów mieszkają Serbowie.

Redaktorzy Księgi mieli więc kłopot. Kiedy brakowało im fotografii, nad nazwiskiem zaginionego umieszczali lilijkę – godło Bośni.

Wielu dzisiejszych ośmio-, dziesięciolatków nie zna twarzy swych ojców i starszych braci. Są zbyt młodzi, by je pamiętać. Kiedy dorosną, z pewnością zacznie im tych twarzy brakować. Nie wystarczy lilijka w Księdze zaginionych. Będą chcieli zobaczyć, jaki miał nos, jakie policzki, brodę, włosy i jakie spojrzenie. Będą chcieli ocenić, czy są choć trochę podobni. Przeszukają archiwa szkół, urzędów, armii i zakładów pracy. Będą pytać w gazetach, w radiu, w telewizji. Będą mówić o swym wielkim pragnieniu: – Chciałbym/chciałabym wiedzieć, jak wyglądał mój ojciec. Może ktoś ma z ojcem jakieś wspólne zdjęcie: w szkole, w wojsku albo na wspólnym urlopie koło Dubrownika. Może ktoś zadzwoni…

Może ktoś ma fotografię Ibrahima Ademovicia (1961), Esada Ahmetovicia (1968), Mirsada Cehicia (1973), Azmira Celicia (1971), Ajdina Dženanovicia (1983), Elvira Kararicia (1976), Elvira Selomovicia (1975). Może ktoś wie, gdzie oni są. Ich rodziny chcą mieć grób.

– Może ktoś wie, gdzie oni są – tak wiosną Matka Mejra pytała o dzieci.

Układanka

Autobus z tabliczką „Przewóz uczniów” odjechał 24 lipca 1992 roku, po jedenastej wieczorem, nie wiadomo dokąd. W autobusie – pięćdziesięcioro pasażerów, znane są niektóre nazwiska. Wśród nich – dwie kobiety: Sadeta (drobna, po czterdziestce) i Edna (młoda, wystraszona). Koleżanki z baraku pomogły Ednie wsiąść, sama nie miała siły. Zazdrościły jej, że jedzie na wymianę z muzułmańską stroną, na wybawienie. Tak im powiedziano.

Był to trzeci autobus, który tamtego dnia wyjechał z Omarskiej. Ludzi z pierwszych dwóch znaleziono w Hrastovej Glavicy. Leżeli jedni na drugich, razem sto dwadzieścia cztery ciała, sami mężczyźni.

Doktor Ewa ekshumowała ich w grudniu 1998 roku. Było wyjątkowo mroźno (minus dwadzieścia stopni, czasem gorzej), ale na dnie jaskini ciepło (plus osiem). Ponad tydzień pracy od rana do nocy. Nie tak prosto było doliczyć się ofiar. Z powodu czasu, który upłynął (sześć lat po morderstwie), i z powodu pochyłego dna jaskini (sześć na osiem metrów). Kiedy mięśnie i chrząstka zabitych przestawały istnieć – kości ześlizgiwały się w dół i mieszały z innymi.

Doktor Ewa z tej mieszaniny szkieletów składa ludzi, chyba nikt inny w Bośni tego nie umie tak dobrze. Zrywa

się o świcie, je w biegu i przed ósmą stoi gotowa do pracy. Pracuje do wieczora, bez przerwy, bez obiadu. Wstrzymuje dalsze ekshumacje, bo musi złożyć tych, których wykopała wcześniej.

Zwykle zaczyna od kości miedniczej. Niekiedy (tak zdarzyło się właśnie w Hrastovej Glavicy) od kości stopy, bo reszty brakuje. Ma wiedzę, doświadczenie i cierpliwość. Nigdy się nie poddaje. Przegląda setkę innych wykopanych ciał, przykłada kość do kości. Nic nie pasuje, mijają godziny i doby. Narzeka, zrzędzi nawet, łamie ją w krzyżu, bolą ją oczy, ale szuka dalej. Nie może mieć żadnych wątpliwości: – Musi być idealny match – mówi i jak zwykle miesza angielski z bośniackim i polskim. Wreszcie znajduje idealnie pasujące do siebie kości skokowe, piszczelowe, strzałkowe, udowe, miednicę. Potem kręgi: lędźwiowe, piersiowe, szyjne. Czaszkę, czasem w częściach, wtedy ją skleja. Wreszcie kości ramienne, łokciowe, promieniowe, kości nadgarstka, palce. Koniec układanki. Człowiek w komplecie.

Doktor Ewa nie wierzy, że Bóg istnieje. Wie, że rodziny, dla których to robi, wierzą. Będzie Sąd Boży i Zmartwychwstanie. – Wolałabym – mówi – żeby oni przed tym swoim Allahem stali na swoich nogach, nie na cudzych. I mieli na karku swoją czaszkę. Żeby jakoś wyglądali, kiedy wstaną z martwych.

Złamania

Dokąd z Omarskiej odjechał trzeci autobus? Tego wiosną nie wiedzieliśmy.

Wiosną we wsi Luszci Palanka doktor Ewa prowadziła identyfikację siedemdziesięciu trzech ciał, które wykopała w innym masowym grobie – w Kevljanach. W wiejskim domu kultury, w sali teatralnej, na brązowej terakocie ułożyła ubrania. Wcześniej je zdjęła z kości i uprała, żeby odzyskały kolor. Jeśli zachowały się włosy, prała i włosy.

Przez gazety i radio zwołano rodziny zaginionych.

Kiedy ktoś rozpoznał ubranie – doktor Ewa pokazywała mu zęby, potem cały szkielet (jeśli cały był). I zadawała pytania: czy ojciec kulał, czy brat często kucał, czy syn miał operację biodra itd. Kiedy i ten etap identyfikacji przebiegł pomyślnie – od najbliższej rodziny pobierała krew. Na badanie DNA. Zgodność DNA krwi z DNA pobranym z kości daje pewność.

Wśród rodzin, które przyjechały na identyfikację, była miła siwa pani.

– Jestem Matka Mejra – przedstawiła się nam. – Przyjeżdżam tu co czwartek. Asystuję doktor Ewie, pocieszam rodziny.

– To Edvin – wskazała nam wtedy jakieś strzępy ubrań. – Mój syn. I płeć się zgadza, i wiek, i wzrost, i zęby. Tylko doktor Ewa nie jest całkiem pewna. Nie badali nam jeszcze tego DNA. Miałam Edvina – pochyliła się, poprawiła nogawkę – miałam i Ednę. Wszystko wiem, jak było z moją

Edną. Kto ją bił, kto gwałcił. To Nebojsza, jej chłopak sprzed wojny. Tylko nie wiem, dokąd pojechał tamten autobus. Ubrania nigdzie nie ma, nawet pantofla, nic.

Szkielet KV 014: wielokrotne złamanie żeber po obu stronach, głównie z przodu i po bokach, ale także z tyłu. Złamany mostek. Złamane dwa kręgi w górnej części tułowia. Złamana prawa łopatka. Niektóre złamania – świeże (dzień, najwyżej dwa przed śmiercią). Inne – zarastające (od paru dni lub tygodni). Edvin?

Matka Mejra, kiedy poznała te wszystkie szczegóły, zmieniła zdanie: to nie jej syn.

– Nie mogłam uwierzyć – mówi dzisiaj.

Nie podpisała dokumentów. Według procedury: jest podpis najbliższych – jest kosztowne badanie DNA.

Nierozpoznane ciała (z siedemdziesięciu trzech rozpoznano dziesięć) pochowano w Kozaracu, blisko Prijedoru, w Republice Serbskiej BiH. Tak zdecydował sąd kantonalny. Wcześniej z każdego szkieletu doktor Ewa wycięła kawałek kości. Na wszelki wypadek – gdyby badanie DNA okazało się konieczne.

Pobrała krew od Mejry i jej męża – Uzeira. Mimo braku potrzebnego podpisu ich próbki krwi wysłała do laboratorium w Madrycie. Dołączyła fragment kości KV 014.

Zajęła się czym innym: następną ekshumacją, niedaleko wsi Donji Dubovik.

Jama

W maju tego roku trybunał haski poprosił Bośniacką Komisję ds. Poszukiwania Zaginionych o ekshumację jamy Lisać, niedaleko wsi Donji Dubovik (Republika Serbska, północno-zachodnia Bośnia). W tej jaskini miały znajdować się ciała. Tak trybunałowi doniósł świadek.

Nazwiska świadków są tajne. Zwykle to Serb – za swoje informacje dostaje pieniądze, nie wiadomo jak duże. Mówi, że widział (nigdy nie powie, że brał udział), jak i gdzie mordowano, transportowano, wrzucano do dziury w ziemi.

Świadek określa miejsce, ale w ekshumacji nie uczestniczy. Boi się. Zbyt dużo ludzi przyjeżdża na miejsce: antropolodzy (doktor Ewa) i medycy sądowi, technicy medyczni; inspektorzy policji kryminalnej, technicy policyjni, prokuratorzy i sędziowie; śledczy z trybunału haskiego; przedstawiciele Bośniackiej Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych i przedstawiciele Serbskiej Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych (bywają wśród nich mordercy, o czym wszyscy wiedzą); działacze jakichś amerykańskich organizacji pozarządowych (nie bardzo zorientowani, co się tu stało), tłumacze, speleolodzy (kiedy ich nie ma, na rekonesans do jamy zjeżdża Ewa – na lince holowniczej), elektrycy, operatorzy koparki, robotnicy od najgorszej roboty. Jeszcze saperzy, bo jama może być zaminowana. Nie zawsze dojeżdżają na czas, wtedy Ewa i tak schodzi na dół. Są jeszcze żołnierze sił międzynarodowych (Stability Forces), którzy ochraniają konwój i pożyczają Ewie linkę, kiedy ta z jej samochodu jest

zbyt krótka. Ewa pracuje na dole, z pomocą patologa i kilku robotników, reszta zostaje na górze. Leżą w cieniu i czekają na koniec dnia.

Niedaleko wsi Donji Dubovik świadek położył paczkę papierosów wśród pól, w miejscu, gdzie należy kopać. Dookoła niecki i kratery.

W pierwszych dniach czerwca (upał!) konwój wyjechał na ekshumację. Na polu znaleziono paczkę papierosów. Ruszyła koparka. Wycięto wszystkie krzaki dookoła (skończył się cień), przekopano cztery najbliższe kratery. Zapuszczono sondy. Nic. Ekipa odjechała.

Śledczy trybunału jeszcze raz porozmawiał ze świadkiem. Świadek obiecał, że jeszcze raz położy papierosy.

Podobno zrobił to nocą. Znowu konwój, znowu pudełko papierosów, znowu to samo miejsce.

Ktoś z ekipy – Irlandczyk – spacerował z nudów. I natknął się, trochę dalej, na jamę nakrytą wielkim kamieniem.

Speleolog zjechał na linie, wrócił. Powiedział, że jaskinia ma dwadzieścia metrów głębokości, kształt komina i jest piękna: ma beżowomiodowe ściany, pełno stalagmitów. Na dnie ubrania, koce, kości. Wyniósł jedną czaszkę na dowód, że to kości ludzkie. Szkieletów było dużo i Ewa miała później kłopot, do których kości ją dopasować.

Zawieszono sznurkowe drabiny. Dwa dni później metalowe. Lepsze, bo sztywne. – Komfortowe – mówi Ewa (kiedyś jej mąż siedział w fotelu, w domu w Islandii, i w telewizji CNN zobaczył, jak żona schodzi do jaskini tyłem do drabiny. Zadzwonił ze stanowczym upomnieniem).

Teraz do jamy Lisać zeszła twarzą do drabiny. Razem z nią lekarz patolog. Nie udało się zawiesić drewnianej platformy, ktoś nie pomyślał o kołkach mocujących. Stanęli na kościach (niedobrze – Ewa słynie w ekipie z szacunku dla każdej kosteczki). Dno: pięć metrów na półtora – zbyt szeroko, by zaprzeć się nogami o ściany.

Elektrycy oświetlili jaskinię: – Rzeczywiście cudowna – mówi Ewa. Nieprawda: kapie na twarz, jest ślisko i zimno. Biegają szczury, pająki, inne robactwo.

Podzieliła dno na sektory: A, B, C, D, E, F. Zrobiła pierwsze szkice.

Ciała jedne na drugich, niekompletne, powyginane, powykręcane albo zwinięte jak precle. Leciały dwadzieścia metrów w dół, uderzając o ściany komina (stalagmity, stalaktyty). Dno jeszcze gorsze niż w Hrastovej Glavicy. Też pochyłe, ale w obie strony. Stożek. – Czaszki jak piłki – mówi Ewa – turlały się pod ścianę.

Jama jak pudełko, którym ktoś potrząsnął. Wszystko, co w środku – rozsypało się. Koce leżały na wierzchu.

Egzekucję wykonano najpewniej w niedalekiej wsi Donji Dubovik (świadkowie relacjonują, że obok cerkwi). Zabitych ładowano chyba na furmanki, niczym innym nie da się tu dojechać. Pod samą jaskinię nawet furmanka nie dałaby rady, więc z pewnością brano ciało na koc i niesiono w kierunku jamy. Tych samych koców użyto wielokrotnie. Wrzucono je w dół razem z ostatnimi trupami.

Ekipa ekshumacyjna zamocowała system lin do transportu ciał.

Pierwszego dnia doktor Ewa – z tego, na czym stała – wyciągnęła dziewięć ciał. Sami mężczyźni – płeć doktor potrafi ocenić od razu. Każdego zapakowała w plastikową torbę (body bag). I w górę.

Na górze – Matka Mejra. Choć mieszka daleko (trzy godziny jazdy), przywiozła dla Ewy obiad. Pieczone mięso, sałata. I inni się częstowali.

Wreszcie tuż nad kośćmi zawieszono platformę. Doktor Ewa mogła uklęknąć na deskach.

Drugiego dnia – szesnaście ciał. Numer 25 – kość miednicza kobieca. Spódnica, rajstopy i czerwony sweter. Charakterystyczny, bo zapinany na ramieniu. I sznur pereł. Natychmiast ściągnięto tych, którzy mogli cokolwiek wyjaśnić.

– To Sadeta – powiedziały dawne więźniarki Omarskiej. – Tak była ubrana, kiedy wsiadała do autobusu.

Sadeta Medziunjanin, matka Enesa i Harisa, nauczycielka historii.

Więźniarki rozpłakały się.

Doktor Ewa nie powiedziała Mejrze ani słowa o tym, że już chyba wie.

W niedzielę (kiedy ekipa nie pracuje) razem z młodym patologiem prała w dziecięcej wanience wykopane ubrania.

Drugie szczątki kobiece znalazła w poniedziałek (26 czerwca). Sektor E, numer 42, blisko dna. Kobieta – wrzucona jako jedna z pierwszych. Była sporo młodsza od Sadety, co Ewa stwierdziła od razu. Spakowała ją do body bag.

Mejra nie czekała na górze. Zasłabła rano, z domu odwieziono ją nagle do szpitala. Zdążyła jeszcze wydać dyspozycję mężowi, żeby pojechał z obiadem dla Ewy. – Jadłam – mówi Ewa – i patrzyłam na Uzeira. Mejrze może bym i powiedziała.

Uzeir: kiedyś głowa rodziny, właściciel firmy budowlanej. Teraz skurczony starszy pan (rocznik 1939). Po tym wszystkim miał już dwa wylewy. Milczy całymi dniami, a kiedy się odzywa – cały się trzęsie: kopie go niewidzialny kat albo on staje się katem i torturuje niewidzialną ofiarę. Nie lubi towarzystwa.

– Jemu – mówi Ewa – nie miałam siły powiedzieć, że jest autobus, że Edna jest.

Zabawka

Ednę, podobnie jak innych pasażerów, najpierw trafiono w miednicę. Na wszelki wypadek. Zdarzało się wcześniej, że ludzie uciekali spod kul. Potem dostała w pierś.

Tyle doktor Ewa wyczytała z kości. Mówi o tym beznamiętnie: – Masz emocje, masz noc z głowy. Ja i tak kiepsko tu śpię. Budzę się o trzeciej nad ranem i widzę podziurawione czaszki. Zastrzelili faceta. Jednego, drugiego, pięćdziesiątego. Rozumiem. Ale jak to możliwe, że pół setki mężczyzn jedzie pokornie na śmierć? Dlaczego nic nie robią? Nie ratują się? Kilku morderców każe im wysiadać z autobusu. Oni pokornie wysiadają. Pokornie stają pod ścianą.

Wolałaby nie stawiać sobie żadnych pytań: – To mnie rozbija, demobilizuje. Jestem od składania kości. Tak mogę pomagać. Na wojnę się nie nadaję.

W Komisji ds. Poszukiwania Zaginionych pamiętają, jak doktor Ewa ekshumowała koło Prijedoru: – Kopałam, wiedząc, że trafię na dzieci. Mnie jest wszystko jedno, czy wykopuję dziecko, czy starca. Kości to kości. Z tą tylko różnicą, że u dzieci jest kosteczek więcej, są mniej trwałe. No i trafiłam na takie kosteczki, jakich się spodziewałam.

I na zabawkę obok – figurkę Supermana. Trzeba go było włożyć do plastikowej torebki. Nie mogłam. Trzymałam to w ręku, nade mną ojciec dziecka. Czułam, że nie dam już rady. Zacznę płakać. Tłumaczyłam sobie: Ewa, ktoś tu musi pracować. Kości to kości. To jest zabawka znaleziona przy kościach. Musisz ją włożyć do plastikowej torebki i zająć się następnym ciałem.

Hala

Są chwile, które cieszą doktor Ewę.

Na przykład wiadomość z Madrytu: DNA kości KV 014 to syn Mejry i Uzeira Dautoviciów.

I następna wiadomość: DNA kości nr 042 (jama Lisać) to córka Mejry i Uzeira Dautoviciów.

To jest sens pracy doktor Ewy. Sens jej życiowej misji, jak twierdzi mąż, który wpada tu latem na wakacje. Ewa zabiera go wtedy do pracy: vacations on exhumations. Jej misja nie ma końca: na znalezienie i ekshumację czeka

jeszcze przynajmniej dziesięć tysięcy ludzi. Kilkanaście tysięcy wymaga identyfikacji. Tam, gdzie nie ma doktor Ewy, nikt specjalnie się nie martwi, czy czaszka pasuje do kręgosłupa. Wykopano pięć wymieszanych ciał, trzeba je z grubsza podzielić na pięć toreb i pochować w pięciu trumnach.

Gdyby składać kości wszystkich wykopanych tak skrupulatnie, jak robi to doktor Ewa – starczyłoby pracy dla kilku antropologów przez sto lat.

Choć inni tutejsi specjaliści są szybsi i mniej precyzyjni, ekshumacje i tak idą wolno. Prace finansuje Międzynarodowa Komisja ds. Poszukiwania Zaginionych (stworzona w USA specjalnie dla byłej Jugosławii). Nikomu w Bośni nie opłaca się ekshumować szybko: – Nie daj Boże – mówi Ewa. – Skończyłyby się wysokie zarobki, kariery, podróże na międzynarodowe konferencje. Trzeba kopać pomału. Musi starczyć na lata, do emerytury. A matki i wdowy? Who cares? Kogo one obchodzą? Nobody cares, że ja care. Mnie to boli, choć to nie mój kraj i nie moi ludzie. Ja jestem całkiem przygłupia. Ale chyba i tacy mają prawo żyć, tak?

Tej jesieni Ewa najczęściej pracuje na przedmieściach Sanskiego Mostu (od tygodni nocuje w hotelu, mieszkanie w Sarajewie stoi puste). Na pustkowiu widać tam wielką halę. Kiedyś skład materiałów budowlanych, dzisiaj – skład ludzkich kości. I tego, co przy kościach znaleziono.

Hala jest przewiewna – żadnych zapachów. Dwie setki plastikowych body bags leżą na ziemi, także te z jamy

Lisać. Razem z kośćmi – ubrania, zapalniczki, portfele, zdjęcia z imienin u cioci, gumki recepturki.

Przyjezdni (z okolicy, z Sarajewa, z Zagrzebia, z Wiednia, z Hamburga, z Nowego Jorku) chodzą i patrzą. Zatrzymują się nad którymś z ciał, znowu idą, rozmawiają z doktor Ewą (czasem Ewa trzyma ich pod rękę), kiwają głowami, modlą się, płaczą, niektórzy słabną – wtedy Ewa woła karetkę.

Czasem do hali wpadnie jakiś dziennikarz z Sarajewa i pyta Ewę, dlaczego to robi. – Nie wiem – mówi z uśmiechem. – Coś mnie popycha. Need to do something good. Jakbym chciała, ja jedna, naprawić krzywdy wyrządzone przez innych. Mam rzadki zawód, tutaj akurat potrzebny. Muszę tu być.

Niedawno na spotkaniu członków Amerykańskiej Akademii Nauk Sądowych znajomy Francuz zapytał Ewę o to samo. Szepnęła mu do ucha: – Robię to, bo zwariowałam. I'm crazy.

Spojrzał na nią z zupełną powagą: – Tak myślałem.

Hala. Cokolwiek się tu dzieje – dzieje się cicho, szeptem. I Ewa mówi półgłosem, kiedy pytają ją o motywacje: – Nie robię kariery, na karierę jestem za stara. Teraz mi płacą, ale były miesiące, kiedy w Sarajewie liczyłam drobne na bułkę, bo mi nie dali dotacji. Pracowałam za darmo, dalej tak mogę pracować.

Do hali wchodzi Matka Mejra. Zna to miejsce doskonale. Nie raz, nie dwa brała tu jakąś matkę pod rękę i pomagała oglądać ciało za ciałem. Teraz przyjechała zobaczyć córkę (zna dobre wiadomości z Madrytu). Najpierw przytuliła się

do Ewy. Potem wzięła w dłonie czaszkę Edny: – Jak dobrze jest wiedzieć – powiedziała. – A Edvin? Jak go wykopać? Muszę go pochować koło Edny, razem.

– Napisz do naczelnika policji – poradziła Ewa.

Od maja Edvin leżał w Kozaracu: nierozpoznany wśród innych nierozpoznanych (siódmy rząd, tabliczka KV 014). Formalności trwały dwa miesiące. Wreszcie, gdy były już wszystkie papiery, Matka Mejra zorganizowała samochód kombi i pojechała do Kozaraca (teren Republiki Serbskiej BiH). Tam dołączyła do niej serbska policja i serbscy urzędnicy. Robotników – także Serbów – Mejra znalazła na budowie jakiegoś domu. Przywiozła Edvina do hali w Sanskim Moście i oddała pod opiekę Ewy. Wyznaczyła termin pogrzebu: 6 października 2000, piątek.

Stoimy teraz przed halą w Sanskim Moście (dwieście metrów długości, trzydzieści szerokości). Jest zimne jesienne przedpołudnie, mgła. Mejra nalewa z termosu gorącą kawę, częstuje zebranych, wita się z dalszą rodziną. – Nie wolno płakać – upomina młodą kobietę. – Jeszcze Nebojsza zobaczy.

Mejra wierzy, że Nebojsza stanie przed trybunałem w Hadze i odpowie za to, co robił w Omarskiej przeszło osiem lat temu. Zdaniem Mejry Bóg i tak już go pokarał za Ednę: – Ma żonę – mówi – ale nie ma potomstwa. Najgorsza to kara ze wszystkich.

W głębi hali – doktor Ewa. Przywitała się z Mejrą przed godziną i poszła do pracy. Rzadko ma chwilę przerwy (na odpoczynek, spacer, kawę w kawiarni, wycieczkę nad

morze). Widzimy ją dobrze: stoi wśród białych toreb równo ułożonych na podłodze. Trzyma w ręku kość i zastanawia się, do kogo może należeć. Ktoś woła Ewę do drugiego rzędu, piąte ciało po prawej. Ewa podchodzi, jest zawsze do dyspozycji rodzin. To Enes chce z nią rozmawiać – syn Sadety, zamordowanej razem z Edną.

Syn Sadety

– To nie były perły – mówi Enes o tym, co znaleziono przy matce. – To były białe kamienie znad Ohridu, siwe raczej. Mama dostała je od ojca. Nie nosiła złota, nie lubiła.

Sadeta Medziunjanin, nauczycielka historii z Prijedoru, leży teraz w drugim rzędzie po lewej stronie. Pewnie syn niedługo zorganizuje pogrzeb. Wcześniej chciałby znaleźć młodszego brata, Harisa. Spodziewa się, że znajdzie go tutaj. Osiem lat temu szedł z bratem przez las. Razem z innymi ludźmi próbowali przedostać się z Prijedoru do Chorwacji. Bezskutecznie: wpadli w zasadzkę, pod strzały. Gnali przed siebie, byle prędzej przez las. Większość przeżyła, ale Haris nie.

Haris Medziunjanin – rocznik 1970. Został gdzieś w krzakach. Ostatnio doktor Ewa przedzierała się przez tamte zarośla, zbierała kości. Przewieziono je tutaj, do hali.

Może i Haris jest już w hali: czeka, aż go brat rozpozna.

Więc najpierw zginął Haris: zastrzelony, kiedy szli przez las do Chorwacji. Enes trafił do Omarskiej. Razem z matką i ojcem.

Rodzice byli inteligentami, więc w Omarskiej należeli do tak zwanej pierwszej kategorii. Enes też, bo student.

Pierwsza kategoria: muzułmańska inteligencja, bogaci oraz ci, którzy brali udział w walkach przeciwko serbskim wojskom (więc i Edna, i Edvin Dautović, dzieci Mejry).

Strażnicy mieli listę.

Pierwsza kategoria – do zabicia w pierwszej kolejności.

Najpierw więźniów bito. Bili strażnicy, oficerowie śledczy, ale i zwykli ludzie z okolicy. Na teren obozu mógł wejść każdy, jeśli tylko był Serbem. Mógł wziąć w rękę coś ciężkiego (drąg, coś z metalu, łopatę), mógł wybrać sobie muzułmańskiego więźnia i bić.

Zwykli ludzie z okolicy (rolnicy? rzemieślnicy? robotnicy?) korzystali z tej możliwości, po czym wracali do domu.

Ojciec Enesa miał połamane chyba wszystko. Umarł na rękach syna. Piątego dnia po uwięzieniu. Kości nie znaleziono do dzisiaj.

Tamtego wieczora, zanim z Omarskiej wyjechał autobus z Edną i Sadetą, Enes poszedł do sąsiedniego hangaru po papierosa, do kogoś z dalszej rodziny. Wtedy do jego baraku przyszedł strażnik (wołali go Cigo) i wyczytał nazwisko Medziunjanin. Zapakowali już cały autobus na wymianę jeńców (wśród nich Ednę i Sadetę), ale mieli jeszcze cztery wolne miejsca. Więc wołali Enesa. Któryś z więźniów pobiegł po niego.

Enes zdecydował, że zostanie jeszcze chwilę, wypali z krewnym papierosa.

Strażnicy nie mieli chyba czasu, by go szukać. Śpieszyli się, nie wiadomo dlaczego. Kierowca już grzał silnik. Zawołali następnego z listy.

Enes chciałby wiedzieć kogo. Kto poszedł zamiast niego?

Po kilku dniach strażnicy znowu czytali listę. Mieli bałagan w papierach, nie byli pewni, kogo już wywieźli, a kto został.

Więc jeszcze raz: – Enes Medziunjanin!

– Jestem – odpowiedział.

– Ty jeszcze żyjesz? – strażnik nie krył zdziwienia.

Więźniowie zrozumieli, że ludzi nie na wymianę wiozą, ale na śmierć.

Enes pojął, co stało się z matką. I że już nikt z jego rodziny nie żyje.

Był 6 sierpnia 1992 roku. Likwidowano obóz w Omarskiej po tym, jak odkryli go zagraniczni dziennikarze. Zdjęcia żywych szkieletów za kolczastym drutem obiegły cały świat.

Szkieletom kazano wsiadać do autobusu.

Enes usiadł gdzieś w tyle.

Ruszyli.

Zaparkowali przed innym obozem, w Manjaczy.

Strażnicy nie kazali wysiadać. Pili.

Zawołali najpierw jakiegoś Kraka, potem jakiegoś Deda – mężczyzn z pierwszej kategorii. Obok autobusu poderżnęli im gardła, wszyscy to widzieli przez szybę.

Zawołali: – Medziunjanin!

Nie odezwał się.

Brali więc po kolei. Coraz bardziej pijani. Zdążyli zabić siedemnastu mężczyzn, aż brakło im sił.

Świtało. Pozostałych przy życiu wygoniono na plac i razem z innymi więźniami ustawiono szóstkami. Przyszli inni strażnicy, kolejna zmiana w obozie w Manjaczy. Zapędzili ich do stajni, obok obozu. Kazali się rozbierać. Liczyli, że w ubraniach (łachach raczej) znajdą jakieś kosztowności, pieniądze. Wtedy Enes znowu zobaczył strażników z Omarskiej. Szli w jego stronę. Spostrzegł bramę. Skrył się za nią. Ktoś bramę zamknął.

– Chyba sam Allah to uczynił – mówi dzisiaj.

Była to brama obozu. Strażnicy z Omarskiej widzieli Enesa, jak tam wbiegał. Chcieli wejść za nim, ale ich nie wpuszczono. Tutejszy komendant przestrzegał międzynarodowych konwencji, które mówią, że do obozu jenieckiego nie ma prawa wchodzić nikt z zewnątrz, kto jest uzbrojony.

To był obóz koncentracyjny, nie jeniecki.

Enes schował się w jakimś baraku, wychodził jedynie na posiłek i prędko wracał. Tak prawie przez miesiąc. Aż znowu usłyszał: – Medziunjanin!

Tym razem chodziło im o ojca. Muzułmańska strona podała jego nazwisko – jego chcieli (i kilkudziesięciu innych) w zamian za jeńców serbskich.

– Nie ma ojca, chodź ty – powiedzieli strażnicy.

Enes nie chciał, nie wierzył w wymianę. Zabiją go, jak matkę.

– Jak się wasi zgodzą wziąć ciebie zamiast ojca, to pójdziesz – powiedzieli. – Jak nie, to tu wrócisz.

Nigdy tu nie wrócę, pomyślał, zabiją mnie w lesie.

Wsiadł do autobusu. Wyjechali na główną drogę Banja Luka – Jajce.

Jechali wolno.

Skręcili w polną drogę, w dróżkę.

Wrócili na główną szosę. Jechali.

Zatrzymali się na środku jezdni.

Kazano im wysiadać.

Kilkaset metrów dalej stali inni ludzie.

Stamtąd podeszło kilku. Z uśmiechem, żartowali.

– Jakby nie wiedzieli, co się tu dzieje – mówi Enes. – Jakby jedna strona przywiozła na targ paprykę, a druga pomidory.

Szef tych, którzy podeszli – Muzułmanin – spojrzał na więźniów.

– Co zrobiliście z nimi? – spytał serbskich strażników. – Ile oni ważą? Po trzydzieści kilo? Ja wam daję waszych, każdy po sto kilo wagi. Za jednego trzech nam powinniście dawać.

Dobry żart, zaśmiali się wszyscy.

Muzułmanin podszedł do Enesa.

– Gdzie ojciec?

– Umarł na moich rękach – odpowiedział najciszej jak można. – Zmasakrowali go, zatłukli.

– Ojca ci czetnicy zabili? – tamten powtórzył głośno. – Chodź z nami.

Ruszył asfaltem w stronę swoich. Chciał pobiec, nie mógł iść. Nogi – kamienie, krok to kilometr, sekunda jak wiek.

Więc wolno, ale byle do przodu, bez patrzenia za siebie.

Teraz – z pomocą doktor Ewy – rozpoznaje kości brata.

Będzie pogrzeb, modlitwa, grób. Dwa groby. Bo i matka: Sadeta, znaleziona z Edną – córką Mejry.

Pierwsze wieko, drugie

Teraz i my wchodzimy do hali. Mejra prowadzi żałobników wzdłuż ściany, prosto w drzwi po lewej stronie. W małej salce, na czystej terakocie leżą obok siebie dwa szkielety: dzieci Mejry.

– Ewa tak je tu wczoraj pięknie ułożyła – mówi Mejra. – Ewa kochana.

Jest i Uzeir. Nic nie mówi.

Wniesiono dwie białe trumny. Białe prześcieradła. Pierwsze wieko, drugie. Kondukt wyjeżdża teraz sprzed hali i kieruje się do Bosanskiego Petrovaca (pięćdziesiąt kilometrów dalej). Tam Mejra teraz mieszka z Uzeirem w nie swoim, kiedyś serbskim domu. – Nasza Matka Mejra dzieci znalazła! – jeszcze wczoraj ludzie powtarzali tam sobie tę dobrą nowinę. Teraz zeszli się licznie przed meczet, by spojrzeć na trumny. Niektórzy (nie wszyscy) wchodzą do świątyni, by zaśpiewać Ja-Sin.

Cmentarz w Bihaciu (kolejne pięćdziesiąt kilometrów). Dołączają następni: są dawne sąsiadki z Prijedoru (chciałyby, jak Mejra, wiedzieć cokolwiek o swoich), koleżanki Edny ze studiów (młode, ładne), matki synów

zaginionych w Bratunacu i Srebrenicy (chciałyby, jak Mejra, urządzić pogrzeb), jest i doktor Ewa.

Nad grobem imam prosi Allaha, by przyjął zmarłych do swego królestwa. Jakaś młoda kobieta podchodzi do mikrofonu. Mówi odważnie, mocno: – Droga nasza Edno! Ciężko jest znaleźć słowa, które wyrażą nasz ból. Wiadomość, że znaleziono twoje ciało, ożywiła w nas okrutne wspomnienia z Omarskiej, Trnopolja i z Keratermu. Dla nas, którzy tam byliśmy, nie ma chwili zapomnienia. Nie ma ulgi. Będziemy walczyły, by ukarać tych, którzy tak młodo i tak okrutnie kazali ci odejść do wiecznego domu.

Jest pogrzeb, modlitwa, grób. Dwa groby. – Wielka ulga – mówi Mejra. – Zapraszamy do domu.

Matka Mejra to wzór. Tak mówi imam. Zaufała Allahowi, to jej daje wytrwałość w cierpieniu. Wie, że było jej sądzone urodzenie dzieci, ich śmierć i dzisiejszy pogrzeb. Nie ma do Boga pretensji, nie buntuje się, nie bluźni.

Trudno jest zrozumieć, że człowiek może tak wiele zła uczynić drugiemu. Ludzie pytają imama: dlaczego Bóg na to pozwala? Dlaczego nas wtedy zostawił? Dobrze, że pytają, myśli imam. Wcześniej na tych ziemiach ludzie nie pamiętali o Bogu. Nie był im do niczego potrzebny. Teraz czujemy nienawiść do naszych serbskich sąsiadów.

Koran uczy, że tak nie wolno. Że trzeba przebaczyć. To będzie trudne. Teraz potrzebujemy Boga bardziej niż kiedykolwiek. Tylko Bóg może nam pomóc zwyciężyć nienawiść. Ale i lęk przed tym, że to nie koniec, że śmierć z rąk naszych sąsiadów jeszcze do nas wróci. Jedynie Bóg

może nas przed nią ocalić i wszystkich tutaj poprowadzić do przebaczenia. Tak jak prowadzi Mejrę.

Teraz – w dużym pokoju u Mejry i Uzeira – imam szykuje się, by odprawić Ja-Sin. Tak tutejszym nakazuje Koran. Będzie śpiewał po arabsku. Mejra wyjmuje z szafki nieduży obrus i energicznym ruchem rzuca go Ewie na kolana: – Nogi! Przykryj nogi!

Człowiek wie, że jest stworzony z błota,
jednak uporczywie sprzecza się.
Podaje różne powody,
a wspomniawszy na swój początek,
woła: Któż potrafi ożywić kości spróchniałe?
Odpowiedz im, że Ten, który stworzył,
Ten i ożywi;
On zna budowę całego stworzenia.
On wszystko może, bo jest Twórcą Mądrym.
Kiedy chce, aby coś się stało,
mówi: Stań się i staje się.
Chwała Temu, który w swym ręku trzyma
rządy całego świata!
Wszyscy ludzie staną przed Nim!

Matka Mejra płacze, ma zamknięte oczy. Kobiety przynoszą z kuchni pieczone jagnię, sałatę, a potem baklavę – słodkie ciasto.

Ściemnia się. Ewa już w samochodzie (jedzie do Sarajewa), już rozmawia z kimś przez komórkę. Mówi

o kościach, kończy. Znowu dzwoni, uśmiecha się do córki, która w Rejkiawiku świętuje osiemnastkę. Składa jej życzenia. Choć pada deszcz, jedzie szybko, ścina zakręty. Znowu ktoś dzwoni. – Lżej mi jest, Ewa – mówi Mejra. – Jedź ostrożnie.

2000-2002

Ziemia

Rano wydawało się wszystkim, że będzie inaczej niż wtedy. Wtedy słońce grzało bez litości, a dzisiaj jest zimno i od rana leje. Samochody (także setki autobusów) zbiły się w długą kolumnę. Serbscy policjanci – ustawieni wzdłuż drogi co sto metrów – włożyli czarne peleryny i pilnują, by nic nie stało się tym, którzy jadą do Potoczar.

Przyjechaliśmy tutaj na wielki pogrzeb. Już nie pada. Tutaj – 11 lipca 1995 roku – ponad dwadzieścia tysięcy ludzi ze Srebrenicy szukało ratunku u holenderskich żołnierzy ONZ. Przyszli z sąsiedniego miasteczka, które broniło się dzielnie przez trzy lata, ale tamtego dnia padło: Serbowie przerwali oblężenie i weszli między domy.

I dzisiaj w Potoczarach jest nas blisko dwadzieścia tysięcy. Wychodzi słońce.

Wtedy Holendrzy nie pomogli mieszkańcom Srebrenicy. Do Potoczar zaraz przyszli za nimi Serbowie, obstawili teren, weszli pomiędzy przerażonych, zabierali mężczyzn, odpychali kobiety. Kobiety płakały, dzieci kryły się w ich ramionach.

Dziś niektóre z tych dzieci są już dorosłe. Przyjechały razem z matkami z Sarajewa, Tuzli, Mostaru, Wiednia, Frankfurtu, Sztokholmu, Nowego Jorku. Mają szerokie

dżinsy, dobre buty, włosy na żel i kamery cyfrowe w rękach (będą filmowały dzisiejsze cierpienie matek). Wtedy – dokładnie osiem lat temu – przez wiele godzin bez picia i bez toalety czekali w mocnym słońcu bez pewności co dalej. I teraz coraz mocniej grzeje, jest coraz więcej ludzi, coraz ciaśniej.

Reis-ulema, najwyższy duchowny tutejszych muzułmanów, wzywa Allaha. Bez Boga trudno będzie tu dziś wytrzymać.

Kobietom i dzieciom kazano wreszcie wsiadać do autobusów albo na ciężarówki (działo się to tutaj, koło tych drzew). Zawieziono je – przez Bratunac, Kravicę, Vlasenicę – aż przed linię frontu. Kazano im iść do swoich.

Ale nastoletnich chłopców (wyższych niż sto pięćdziesiąt centymetrów) zatrzymano w Potoczarach, także ich starszych braci, ojców i dziadków. I oni są tutaj między nami. Wrócili. Przynajmniej niektórzy: dwustu osiemdziesięciu dwóch, każdy z imieniem i nazwiskiem, w trumnach.

Najmłodszy – wtedy czternaście lat.

Cmentarz (prostokąt długi na kilometr, szeroki na trzysta metrów) zbudowano przy asfaltowej drodze, na tym polu, na którym muzułmańscy mężczyźni czekali wtedy na śmierć. Przy tej drodze, którą przez dziesięciolecia i ofiary, i kaci jeździli do szkół, zakładów pracy, na dancing do miasteczka obok. Ostatnio postawiono tu wysokie ogrodzenie z szeroką bramą, zbudowano meczet (lekki dach na słupach, bez ścian), wyznaczono kwatery, ułożono alejki,

posiano trawę. Ale dołów wykopano jedynie kilkaset, w północnej części cmentarza. Większość trawy czeka nietknięta. I ludzie, którzy na niej teraz usiedli, czekają na identyfikację ciał swych bliskich. Patrzą z zazdrością na tych, którzy już groby mają.

Wtedy Serbowie zamordowali tu co najmniej siedem tysięcy mężczyzn, do dziś w okolicy trwają ekshumacje masowych mogił. Identyfikacje nabrały tempa dopiero ostatnio, kiedy w Bośni otwarto laboratoria do badań DNA. Na rozpoznanie wciąż czeka kilka tysięcy wykopanych już ciał. Będą w Potoczarach kolejne pogrzeby.

Na północnej stronie cmentarza dwieście osiemdziesiąt dwa otwarte groby, przy każdym: zielona tabliczka z nazwiskiem ofiary, niewielka trumna bez wieka (szczątki zgodnie z tradycją położono na deskach i nakryto zielonym płótnem), kupa ziemi, na niej kolejne deski (żeby nie sypać ziemi na płótno), siedem łopat, już za chwilę będą potrzebne. Słońce pali.

Imam woła wszystkich przed meczet, na południową stronę cmentarza. Zezwala, by – dziś wyjątkowo – kobiety biły pokłony Allahowi wspólnie z mężczyznami. Te, które straciły tu synów, mężów i ojców. Te, które dotychczas miały odkryte głowy, zawiązują chustki. Reis-ulema wzywa wiernych, by pragnienie zemsty zamienili w pojednanie.

Europę, by zadbała o prawdę i o sprawiedliwość.

Świat, by nigdy, nigdzie i nikomu Srebrenica nie przydarzyła się znowu.

Wreszcie wzywa żałobników, by powrócili do grobów i pochowali swych bliskich.

Idą na północną stronę.

Szybko, jakby chcieli mieć to już za sobą. Upał się wzmaga, nigdzie cienia.

Kobiety dotykają trumien, głaszczą je, całują, tulą. Dostały swych mężczyzn tu, gdzie im ich odebrano.

Tłum napiera, groby są ciasno obok siebie. Mężczyźni wkładają trumny do grobów, ale nie każda kobieta chce się na to zgodzić. Któraś krzyczy, matka osiemnastolatka, nie chce się rozstać z synem. Mężczyźni wyrywają jej trumnę, krewne biorą ją w objęcia, leją jej wodę na twarz. Ruszają łopaty.

Serbscy policjanci patrzą na to zza ogrodzenia. Pilnują, by na serbskiej ziemi muzułmańskim żałobnikom nic się złego nie stało. Nie raz, nie dwa autobusy z muzułmańskimi kobietami obrzucono tu kamieniami. Ale dzisiaj jest spokój. Nikt nie chce nikomu zrobić krzywdy. Tutejsi Serbowie mają swoje sprawy: zwożą drewno z lasu na zimę, zbierają plony, gotują coś w kuchniach.

Chciałoby się stąd uciec. Od kilku minut ziemia uderza o deski. Siedem łopat nad każdym z dwustu osiemdziesięciu dwóch grobów. Głuche dudnienie, zwielokrotnione, coraz bardziej donośne. Lament coraz trudniejszy do wytrzymania dla tych, którzy jeszcze się jakoś trzymają. Jedni podtrzymują drugich. Płaczą już także mężczyźni: ci, którzy mają więcej niż dwadzieścia lat, żyją nie wiadomo

dlaczego. Pewnie wyemigrowali stąd jeszcze przed wojną i teraz dziękują za to Allahowi.

O nic nikogo nie pytamy.

11 lipca 2003